

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

**MARYSIEŃKA
SOBIESKA**

Tadeusz Boy-Żeleński

Marysieńka Sobieska

«Public Domain»

Boy-Żeleński T.

Marysieńka Sobieska / T. Boy-Żeleński — «Public Domain»,

Содержание

I. Zamiast przedmowy	5
II. Młodość Celadona	12
III. Szkoła królowych	20
IV. Potop i arka	27
V. Konfitury	33
VI. Vivente rege	39
Конец ознакомительного фрагмента.	44

Tadeusz Boy-Żeleński

Marysieńka Sobieska

I. Zamiast przedmowy

Kiedy szanowna firma księgarska, podejmując cykl biografii historycznych, zaproponowała mi napisanie *Marysieńki* (Sobieskiej), myśl wydała mi się kusząca. Cóż za bogactwo materiału! Miłość Sobieskiego do pięknej Francuzki, jakaż to ciekawa powieść psychologiczna, podszyta romansem rycerskim, intrygą polityczną w wielkim stylu. Co za kontrasty: królewski płaszcz z gronostajów rzucony na zmiętoszone łóżko w Pielaskowicach czy w Jaworowie; Piast ożeniony z Celimeną¹; pierwsza wielka ofensywa wpływów francuskich na Polskę, no i odsiecz austriackiego Wiednia jako finał tej dwudziestoletniej propagandy, skutecznej jak wszystkie propagandy... splot zagadnień jakże bogatych, pasjonujących, skomplikowanych. I ten uroczy barok, w jakim się kształtuje ów heroiczny poemat! Już, już, objawił mi się wąsal Sobieski jako pyzaty barokowy aniołek, to dmący w surmę zwycięstwa, to stulający buzię do pocałunku!

Ale równocześnie obległy mnie wahania. Znów być wymyślanym, i głupio wymyślanym! Tak bardzo nieprzyjazne jest u nas nastawienie ogółu do kogoś, kto szuka ludzkiej prawdy pod oficjalnym banałem! Tak mi się już przejadło czytać bzdury o pomniejszaniu wielkości i o „życiu ułatwionym”²! A jeżeli kiedy, to tutaj grozi niebezpieczeństwo, bo czyż Marysieńka nie wydaje się wcieloną małością Sobieskiego, personifikacją mniej chlubnych stron jego historii; czyż go ta Francuzeczka wciąż nie ściąga z pomnika za połę kontusza na ziemię? Ale gdyby się w tym rozpatrzeć, okaże się, iż wielkość z małością spojone są tu tak ściśle, że odgrodzić ich niepodobna, tak jak nie zdołali rozdzielić Sobieskiego z Marysieńką ci, co chcieli nie dopuścić jej do koronacji. Zatem, co Bóg złączył, człowiek niech nie rozłącza.

Ani człowiek, ani nauka. A nauka bywa tu w kłopotcie. Prof. Konopczyński stwierdza w *Encyklopedii Akademii Umiejętności*, że czasy Sobieskiego są szczególnie przez naszą historię zaniedbane. „Historycy – pisze – woleli nie tykać tej epoki, jakby bojąc się rozwiać historię o wielkim człowieku przez drobiazgowy wgląd w jego postęпки”.

W istocie, jest to bohater szczególnie kłopotliwy. Wciąż go trzeba tłumaczyć, wciąż rozgrzeszać, znajdować dla niego okoliczności łagodzące. Wciąż się jak gdyby chowa... Ale to może dlatego, że go się bierze zbyt górnio. Wówczas Sobieski nudzi się i zmyka. A skoro go powiesić na ścianie między Chrobrym a Kościuszką, co chwila wyłazi z ramek, aby załatwić jakąś ludzką potrzebę. Łatwiej byłoby go może zrozumieć, gdyby się pogodzić z tym, że to, co się uważa za jego słabość czy skazę, było najistotniejszym motorem jego życia.

Sam Sobieski daje nam wskazówkę w tej mierze. Weźmy do rąk jego nieoszacowane listy do Marysieńki i zajrzyjmy pod r. 1667. Jesteśmy we Lwowie, w miesiącu wrześniu, w dobie rodzącej się wielkości hetmana, w najwspanialszym może momencie jego życia, tuż przed śmiertelnymi dniami, gdy Sobieski zamknie się ryzykownym manewrem w Podhajcach, aby ściągnąć na siebie przeważające siły nieprzyjaciela i pobić go na głowę. Ma wszystkiego 7000 wojska, a ciągnie na niego – tak donosi

¹ *Celimena* – postać z komedii Molière'a *Mizantrop*; synonim kokietki. [przypis edytorski]

² *bzdury o pomniejszaniu wielkości i o „życiu ułatwionym”* – chodzi o zarzuty w stosunku do Boy'a jako autora zbioru felietonów o twórcach literatury polskiej (m.in. o Mickiewiczu, Żmichowskiej, Fredrze) zebranych w tomach: *Brązownicy* (1930) i *Obrachunki Fredrowskie* (1934) oraz artykułów o tematyce obyczajowej zebranych w tomach: *Dziewice konsystorskie* (1929) i *Piekło kobiet* (1930); atakowali Boy'a m. in. Jan Emil Skiński w artykule *Życie ułatwione* („Wiadomości Literackie” nr 47/1931), Karol Irzykowski w książce *Beniaminek* (1932) i in.; „pomniejszanie wielkości” oznaczać miało „szarganie świętości narodowych” i sprowadzanie uznanych, sławnych postaci do ich indywidualnego, ludzkiego wymiaru (zwracanie uwagi na ich małośćki), zaś „życie ułatwione” było określeniem odnoszącym się głównie do poglądów obyczajowych Boy'a, który wraz z Ireną Krzywicką prowadził walkę piórem o wprowadzenie sensownego prawa dotyczącego rozwodów i aborcji oraz propagował edukację na rzecz świadomego macierzyństwa. [przypis edytorski]

do Paryża Marysieńce – 100 000 Tatarów i 50 000 Kozaków. I równocześnie opisuje jej przygodę, jaka mu się w tej chwili zdarzyła z jej powodu. Nie było od niej listów, a gruchnęła tu wiadomość, że Marysieńka jest chora. Co się z nim stało pod wpływem tej wiadomości i co się z nim działo przez dwa tygodnie, to „wszystko miasto i cała Polska powie, bo nie masz tego dziecięcia, które by się nad nim nie użaliło”. Sam zachorował z żalu i niepewności, tak że bliski był śmierci. Towarzysze broni nie odstępowali go ani na chwilę; nacierali go gorczycą, wciąż mu serdeczną wódkę u nosa trzymali. Nie było kościoła, szpitala, więzienia, gdzie by się przez te dwa tygodnie nie modlono – za zdrowie Marysieńki. On sam kościoły ślubował ufundować, ślubował pościć o chlebie i wodzie w obozie. A patrząc na jego boleść, spowiednik jego, ksiądz Solski, płakał tylko – nad sobą i powtarzał: „Czemu ja tak Boga kochać nie mogę!”. Aż wreszcie przyszła wiadomość, że Marysieńka zdrowa, i – wszystko jak ręką odjął. Wstał i był zdrow. „Owo – kończy Sobieski – jest to taka i tak dziwna historia, o której wieki pisać będą mogli”.

Zauważmy: jest to bodajże pierwsza okoliczność, że Sobieski uczuł się postacią historyczną; uczuł, że wieki będą mogły pisać o jego przygodzie. I może miał rację. Bitew było w świecie bez liku, większych i mniejszych; ale taki list jak ów ze Lwowa 10 septembra³ roku 1667 był i będzie tylko jeden. Czytałem gdzieś aforyzm, który mnie zafrapował: mianowicie, że gdzie się biją dwie strony, tam jedna bywa zazwyczaj pobita, z czego niekoniecznie wynika, aby wódz przeciwnej strony był geniuszem. I Sobieski ma zapewne świadomość, że takich potyczek jak te, które dotąd staczał, były w historii tysiące; ale ma zarazem przecucie, że taką przygodę miłosną jak jego niełatwo znalazłoby się w dziejach i że „wieki o niej będą mogły pisać”. Jak o tej Kleopatrze, która była jego ulubionym romanssem.

Mogłyby – ale nie piszą, przynajmniej u nas. Nawet nie bardzo czytają. Wspomniałem listy Sobieskiego. Rozkoszna książka. Ale jak wydane! Przed osiemdziesięciu blisko laty, w ogromnym nieczytelnym tomisku – dziś rzadkość antykarska – skastrowane przez wydawcę. A listy Marysieńki? Jeszcze gorzej; tych niewiele, które wydano drukiem, zgubiono w ogromnym tomie archiwalnych materiałów historycznych. O tyle słusznie, że kto wie, czy owe listy to nie jest dziś najwialniejszy materiał historyczny do Sobieskiego. W każdym razie czuje się tu człowiek na znacznie pewniejszym gruncie niż gdzie indziej. Bo coś mi się widzi, że gdy chodzi o nasz wiek XVII, okrutnie się zaczyna ziemia chwiać pod nogami pani Historii. Zwłaszcza wszystko co jest związane z historią militarną ówczesnej Polski. Niedawna dyskusja, z takim talentem i brawurą przeprowadzona przez Olgierda Górkę, na temat wojen kozackich jest tego przykładem. Przede wszystkim wczorajsza wojna⁴ stosunek do wojen w ogóle i do ich strony technicznej uczyniła czymś o wiele konkretniejszym – i krytyczniejszym – niż to było możliwe u książkowych uczonych patrzących na sprawy wojenne oczami zakamieniałych cywilów. Takie pojęcia jak możliwości mobilizacyjne i transportowe, aprowizacja, mapa sztabu generalnego, wątpliwa wartość dokumentarna komunikatów wojennych, wszystko to z naocznej rzeczywistości zaczęto przenosić wstecz i żywymi doświadczeniami oświetlać dawne dzieje. Ten i ów z historyków sam niedawno dowodził pułkiem czy batalionem na polu bitwy; z konieczności ma inne oko na te sprawy. Zaczęto poddawać krytyce tradycyjne cyfry „nawały wroga”, która stale przekraczała jakoby dwudziestokrotnie i więcej garstkę naszych rycerzy. Co więcej, raz wszedłszy na drogę sceptycyzmu, zaczął ciekawy historyk zaglądać do archiwów „pohańca⁵” i znalazł w nich, że tam znowuż bohaterska garstka Turków i Tatarów raz po raz opiera się przemożnej nawale Polaków. Taki był obustronny fason: a często chodziło o jedną i tę samą bitwę. I łatwo może się zdarzyć, że jaki spec od historii militarnej – nie ubliżając w niczym osobistej dzielności Sobieskiego – ujmie jedno zero z cyfry owych 150 000 podhajeckich nieprzyjaciół; ale najsroższy

³ *septembra* – września. [przypis edytorski]

⁴ *wczorajsza wojna* – tj. I wojna światowa. [przypis edytorski]

⁵ *pohańec* – pogardliwie o wyznawcy islamu (szczególnie Tatarze, Turku); pierwotnie od: poganin w wymowie rus. [przypis edytorski]

bodaj rewizjonista, przeczytawszy jego listy do Marysieńki, nie ujmie nic z jego miłości, tak jak nie ujmie nic z owych tysiąca czerwonych złotych, które na intencję ozdrowienia Marysieńki pan hetman polny obiecał „dać na dobre uczynki, tj. na murowanie oo. bonifratellów”, i z drugiego tysiąca czerwonych złotych „na dokończenie murów panien karmelitanek naszych bosych”, ani z tych dziewięciu kościołów, w których miało się odprawiać po dziewięć mszy przez dziewięć niedziel.

Rzecz prosta, iż pozycje te – i inne tym podobne – choć tak wzruszające, nie usprawiedliwiałyby naszego zainteresowania ową tak namiętnie kochaną kobietą. Ale mała jej rączka z przyległościami staje się niesłychanie interesująca przez transmisje dziejowe, które rozszerzyły jej teren operacyjny. Widzimy tę rączkę działającą z niezawodną precyzją w trudnym momencie rokосу Lubomirskiego i wielkiej gry Marii Ludwiki, i w obu elekcjach, i w polityce zagranicznej króla Jana, i w szansach wyprawy wiedeńskiej. Różowy jęczyzek Marysieńki jest raz po raz w wahaniach dziejowych jęczyzkiem u wagi. Natrafiamy wciąż na jej buzię, wertując dokumenty archiwalne francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych (wydane przez naszą Akademię Umiejętności), korespondencję ambasadora Francji ze swoim ministrem, ba z samym Ludwikiem XIV. Wszędzie Marysieńka, jej ambicje, jej kombinacje, jej fochy, jej pretensje.

Wydawca listów Sobieskiego do Marii Kazimiery, Helcel, powiada, że nasz bohater traci na poznaniu go z tych listów. Ja bym sądził przeciwnie. Bo te fakty, które świadczą przeciw niemu, ukryć by się nie dały; wiadome są i skądinąd; ale dopiero te listy, w których zwierza ukochanej kobiecie swoje najpoufniejsze myśli, dają każdemu faktowi właściwe oświetlenie, a zwłaszcza właściwy styl. Ten styl zaczerpnięty częścią z serca, a częścią z francuskich romansów, które nasz Polak nie tylko czytał w obozie, ale wcielił je w czyn ze wspaniałym rozmachem, ta gra w Celadona i Astreę, w Sylwandra i Dianę, nie jest – jak często mówiono – śmiesznością czy słabostką bohatera; wręcz przeciwnie, ten styl jest samą istotą jego odczuwania, jest dlań – w pewnym zwłaszcza momencie życia – rzeczywistością przesłaniającą mu wszystkie inne. I tylko w tym stylu da się pogodzić sprzeczności jego charakteru, a raczej postępów. Kiedy, pod datą 4 października 1667 r., z obozu w Podhajcach, czytamy pamiętny uniwersał, w którym przyrzeka – i nie ma w tych jego słowach żadnej przesady – „całość dobra pospolitego własnym zasłonić trupem, dając się *in victimam* miłej Ojczyźnie”, a wiemy skądinąd, że przez cały ten czas on, wielki marszałek koronny i hetman polny, prowadził targi z Wersalem, aby po narzuconej krajowi elekcji Francuza przehandlować swoje godności na tytuł marszałka Francji z dodatkiem francuskiego księstwa i miłej gotowizny i na zawsze wynieść się z Polski, wydaje się to jednym potworne, drugim niezrozumiałe; inni wreszcie wołają udać, że tego nie widzą. Ale kiedy tuż po zwycięstwie podhajeckim czytamy w jego liście do Marysieńki, że „Rzeczpospolita ma być za co obligowana Sylwandrowi” i kiedy, omawiając z żoną rokowania wersalskie, stale nazywa Wersal, wedle umownego klucza, *palais enchanté* (zaczarowany pałac) – zaczynamy wchodzić w jego sposób odczuwania. Zakon rycerski, którego Sobieski jest ozdobą, z tradycji swoich zawsze był po trosze międzynarodowy: alboż nie było wędrownych rycerzy, u których nie o to chodziło, gdzie i za kogo walczyli, ale czy walczyli dzielnie? On, Sylwander, oddał usługi Rzeczypospolitej, a teraz chce odebrać, wraz z Marysieńką, nagrodę – w „zaczarowanym pałacu”. Ani by się zawahał: ojczyzna jego jest tam, gdzie jest ona. Czyż nie mówi mu tego jego serce i czyż nie tak jest w romansach? Nie mierzmy patriotyzmu zwycięzcy podhajeckiego dzisiejszymi pojęciami, a oszczędzimy sobie przy jego historii wielu drażliwych momentów. To nie jest bohater z Sienkiewicza; a jeżeli ktoś powiedział, że psychikę Sobieskiego odmalował Sienkiewicz w Kmicicu, można by się na to zgodzić chyba z tą poprawką, że jego Oleńką-regalistką była – Marysieńka, co czyni charakterystykę naszego regalisty nieskończenie bardziej powikłaną... Zwłaszcza w czasie panowania Michała Korybuta.

Postacie naszych wielkich bohaterów rodzą w nas rozmaite uczucia. Tak np. Żółkiewski budzi w nas cześć, Batory grozę; Sobieski – z pewnością nie mniejszy od tamtych – budzi mimowolny uśmiech. Nie tylko przez swą sarmacką postać fredrowskiego Cześnika (nie ufajmy zbyt tym pozorom!), nie tylko przez ten pantofelek, który go tak skutecznie przycisnął; ale przez to, że lwia –

w każdym sensie – część jego historii jest po trosze komedią w największym stylu. Sobieski, to jest uroczy „bohater mimo woli”; człowiek, który wciąż chce się spaskudzić i nie może lub nie potrafi; który raz po raz chce iść drogą najłatwiejszą, a idzie najbardziej niebezpieczną i stromą; który chciałby być rentierem i żonkosiem i wciąż jest rycerzem, straceńcem, niestrudzonym strażnikiem granic, puklerzem ojczyzny. Bo zważmy, że od r. 1662 aż po r. 1673 bez przerwy toczą się najpierw prywatne konszachty, później, ze wzrostem jego znaczenia, półoficjalne rokowania, mające umożliwić Janowi Sobieskiemu całkowite wyniesienie się z Polski i naturalizację we Francji. I najczęściej nie jakieś wewnętrzne sprzeciwy moralne czy patriotyczne udaremniają mu ten zamiar, ale po prostu piętrzące się z komediową przekorą komplikacje i przeszkody. A podczas tego – Podhajce, Braclaw, Kalnik, Chocim... Aż wreszcie po Chocimiu los przygwoździł naszego Celadona koroną do miejsca i położył koniec jego tęsknotom za *palais enchanté*. Biedna Astrea też musiała pogodzić się z losem, choć nie ręczę, czyby i wówczas nie oddała tego polskiego tronu za „taburet” w Wersalu i tytuł diuka dla papy d'Arquien.

Bo i na tronie Marysieńka pozostała mała... Ale czy powtarzając ten powszechny wyrok, nie popełniamy błędu optycznego? Wielkość kobiety inne ma kryteria. Przykuć do siebie wspaniałego człowieka, najlepszego w kraju; urzec go tak, że może go zostawiać samego na rok i dłużej bez obawy przelotnej nawet rywalki; igrać z nim bez miary, panować nad nim na wszelkie sposoby, zachować dlań przez lat trzydzieści urok fizyczny i duchowy, dzielić wszystkie jego myśli, plany i zamiary, podsadzić go na tron i usiąść mu tam na kolanach, i to wszystko będąc prawie bez ustanku w ciąży, rodząc kilkanaścioro dzieci żywych i umarłych – czy to nie jest swego rodzaju wielkość, niech odpowiedzą kobiety. I zawracać (obłudnie) hetmanowi głowę w czasie klęski pod Mławami, że ją zdradza, a królowi w czasie odsieczy Wiednia, że rzadko pisze! Podczas gdy korpulentny zwycięzca, który już po krześle na koń wsiadał, pisał, nie otarłszy nawet potu z czoła, wprost z pola bitwy pod Wiedniem, na bębnie, sążniste epistoły, nigdy nie zapominając „ucałować milion razy wszystkich śliczności i wdzięczności najukochańszego ciałeczka”.

Tak więc, mogłoby się okazać nawet i to, że wielkość Marysieńki nie lęka się na swój sposób rywalizacji z wielkością jej małżonka, i może mniej się obawia ofensywy nowoczesnych historyków... Bo kto wie, ile w najbliższym czasie Olgierd Górka, zbliżający się powoli, ale nieubłaganie do Sobieskiego, obetnie z potęgi tureckiej pod Wiedniem, którą sam Sobieski szacuje na 300 000 ludą, a inni uczestnicy walki obliczają na 300 000 namiotów, licząc po trzy lub cztery twarze na namiot. I wszystko to w puch rozbiła w parę godzin jedna szarża kawalerii!

Ale nie obawiajmy się o wielkość Sobieskiego: dosyć jej zostanie. Ani ja nie gotuję na nią żadnego zamachu. Nigdy nie jest moją intencją pomniejszać prawdziwą wielkość; czasem tylko czuję potrzebę wskazać, że mechanizm jej i jej drogi są nieco inne, niż się zdawkowo przyjmuje. I że nic jej tak skutecznie nie unicestwia niż pietystyczny konwencjonalizm.

Tu sama obecność Marii Kazimiery wystarczy, aby uchronić od takiego niebezpieczeństwa! Bo przecież nie o Sobieskim mam pisać, ale o niej; i nie rozdział historii polskiej mam tu kreślić, ale po prostu historię jej samej. A jeżeli, spełniając wedle możliwości swoich to zadanie, siłą rzeczy będę musiał potrącić o czyny Sobieskiego i przypomnieć kawał dziejów Polski, będzie to raczej podszewka tych czynów i dziejów, skrojona ze spódniczki owej kobiety, bardzo pospolitej i niepospolitej zarazem, zabłąkanej na naszą ziemię cudzoziemki, którą bohater nasz spolszczył na wieki, chrzcząc ją perwersyjnym imieniem Marysieńki.

*

Tak, nie obawiajmy się o Sobieskiego. Nie ma nic do stracenia. Bo, mimo cennych publikacji w tym zakresie, gdyby się spytać, co przeciętny Polak wie o Sobieskim, okazałoby się może, iż wie tyle, że miał piękne wąsy i że bił Turków. Ale dziś wąsy golimy i do Turków nie mamy żadnej nienawiści –

i oto kult Sobieskiego zawisł po trosze w powietrzu. To są niebezpieczeństwa wiązania czyjejs chwały z rzeczami przemijającymi.

Natomiast ten sam przeciętny Polak byłby może bardzo zdziwiony, gdybym mu się zwierzył, że Jan Sobieski od czasu, jak się z nim zapoznałem bliżej, jest dla mnie jednym z najciekawszych pisarzy XVII wieku, mimo że jego nazwiska nie znajdzie się w żadnym podręczniku literatury. Co pisał? Właśnie owe listy do ukochanej kobiety, do własnej żony. Dla naszej historii literatury widocznie to za mało; ale pani de Sévigné również pisała tylko listy do córki, a od dawna liczy się bezspornie do klasyków francuskich.

Nie ma nic ciekawszego dla badań stylistycznych niż porównanie listów, jakie Sobieski pisywał do innych, a listów do niej, do Marysieńki. Zazwyczaj w listach styl jego nosi znamiona epoki; ciężki, z łacińska zawijany, odświeżony i makaroniczny. Do niej – jakby inny człowiek pisał; myśl wyraża się swobodnie, bezpośrednio, z wzruszającą szczerością, znajdując wyraz dla subtelności bardzo na tle ówczesnej sarmackiej Polski egzotycznych.

Egzotyczną jest i cała ta przygoda. Sobieski i Marysieńka to z pewnością jedno z najosobliwszych w świecie zdarzeń miłosnych, ucieleśniona bajka. Jedna miłość wypełniająca całe życie człowieka, rzucająca to życie bez wahania pod nogi kobiety, prowadząca go poprzez małostki do wielkości, zwycięsko opierająca się przeszkodom, rozłące, znosząca grzech i naganę opinii, czasem kaprysy i niewdzięczność, wzbijająca bohatera wyżej niego samego i wiodąca tę niedobraną na pozór, a w istocie świetnie dobraną parę, aż na tron – czyż to nie jest historia z bajki!

Niewątpliwie wdzięku i znaczenia dodaje tej przygodzie jej tło obyczajowo-polityczne. Romans Sobieskiego z Marysieńką, to szczytowy punkt owej pierwszej inwazji wpływów francuskich do Polski. We współżyciu tej pary oboje zachowali całkowicie swoje odrębności narodowe. Ta rasowa Francuzka miała cztery lata, kiedy przybyła do Polski, ale Francuzką została do końca; on, mimo iż dojrzał w klimacie francuskiej lektury, francuskiej polityki i miłości, zostaje zawsze typem najczystszej polonusa, nawet zewnątrz; nigdy nie zrzuci delii⁶ i kontusza, ani nie zmieni szabli na szpadę. Odbija się to i w charakterze ich listów. Ona pisze po francusku, mieszając zabawnie polskie słowa, gdy chce być dosadniejsza; on pisze po polsku, z lekka barwiąc francuszczyzną, tak jak pisząc do innych robił to łaciń.

Cały długoletni romans utrwalony jest w tych listach. Najpierw flirt pana chorążego koronnego Sobieskiego z młodzieńką wojewodzina Zamoyską; bo gdy on wojował, ją wydano tymczasem za tego magnata, jednego z najbogatszych ludzi w Polsce; potem zalotna ufność, z jaką młoda pani, zaniedbywana przez swego męża opoja, garnie się do tego świetnego rycerza i kawalera, jeszcze wówczas trochę latawca i bałamuta. Potem mieszają się w to sprawy polityczne, dworskie, wprowadzające do ich „konfiter” – tak nazywali listy – specjalny klucz mający zapewnić dyskrecję, w razie gdyby list dostał się w niepowołane ręce. Potem młoda pani wyjeżdża do Paryża, dokąd chce ściągnąć swego „Celadona”, jak znowuż Sobieski sam się nazywał, zapożyczając imienia od bohatera sentymentalnej *Astrei*. Potem – dramatyczny epizod rokoszu Lubomirskiego, w którym królowa Maria Ludwika ręką owdowiałej w porę Marysieńki kupuje udział Sobieskiego, długo wzdragającego się przyjąć buławę hetmańską w przededniu wojny domowej.

I od chwili małżeństwa zaczyna się rozkwit Sobieskiego jako pisarza, skoro mówimy tu o nim zwłaszcza w tym charakterze. Przedtem, jako czuły Celadon skazany na monotonne zaklęcia i miłosne peryfrazy, czuł się niby w obcym, przyciasnym stroju; obecnie może pisać otwarcie i szczerze wszystko i o wszystkim; z cudowną prostotą miesza w swoich listach różne tony. Wspominki miodowych miesięcy przeplatają się gonitwą za rokoszanami; wzajemne sceny i wyrzuty kochanków znajdują się w tym samym liście, co opis nieszczęsnej klęski pod Mławami. I znów rozłaka; młoda pani jedzie do Paryża ku rozpaczemu męża, który wyładuje swoją furię miłosną w czynach wojennych,

⁶ *delia* – okrycie wierzchnie w stroju szlachty polskiej w XVII w.; rodzaj długiego płaszcza z rękawami półdługimi, długimi lub bez (wówczas rodzaj peleryny) i kołnierzem sięgającym niekiedy do połowy pleców; delię noszono na kontusz (żupan). [przypis edytorski]

tym razem przeciw prawdziwemu wrogowi. Poprzez te lamentsy miłosne słane z obozu do Francji, czujemy urastającego bohatera. I nie najmniejszego smaku dodaje tym listom miłosnym to, że przeważnie datowane są z miejsc jakże historycznych: Podhajce, Kamieniec, Lwów, Chocim... Jest jakiś uroczy kontrast między prostotą i zwięzłością, z jaką Sobieski donosi o swoich zwycięstwach, niebezpieczeństwach i trudach, a rozciągniętością jego miłosnych roztrząsań i żalów.

Bo coś się zmieniło w romansie: o ile Sobieski długo nie chciał abdykować z roli kochanka i przejść do spokojniejszej miłości małżeńskiej, o tyle ona, Marysieńka, nie dotrzymuje mu kroku w tej egzaltacji miłosnej. I oto nieskończony temat wspominków i żalów, które nasuwają Sobieskiemu ileż wzruszających kart w jego listach. Przejeżdża przez miejsca, w których spływało ich pierwsze pożycie, dorywcze, chwytające dzień – albo lepiej jeszcze noc – między jakąś bitwą a marszem. Teraz nie ma przy nim ukochanej, wszystkie jej czułe „Jasieńku kochany” i „serca mego panie” tylko żal w nim budzą i tęskność. „Jaka tu różność od onych czasów – pisze – i jaka odmiana! Pierwsza owa szczęśliwa pod Czerniechowską stodołą, gdzie ledwie nie konano na dni tylko kilka rozjeżdżając się z swoim Sylwandrem. Nuż żółkiewska stodoła, nuż owa w Chmielcu, w której jakie protestacje i jakie lamentsy, że i dnia wytrwać nie można, gdzie momenty zdały się wiekami, gdzie się napatrzeć, gdzie się nagadać nie można, gdzie w drzewie jednym daleko od wszystkich ludzi zamknąć się życzo i tysiąc tysięcy takich rzeczy, które teraz podobno i na myśl już nie przychodzą. Wspomnij tylko na ostatek – przypomina Marysieńce – że i śpiącego nie można się napatrzeć Sylwandra i kiedy on spał, a Bukiet („Bukiet”, to jeden z jej tkliwych pseudonimów) rozbierał się, to albo na takim siadł miejscu, z którego nań patrzeć mógł, albo sobie zasłonę odsłonić rozkazał...”

Ale mimo iż tęsknota serca i zmysłów jest natchnieniem tych listów i daje skrzydła ich językowi, nie sądzmy, aby to były monotonne litanie miłosne. Sobieski pisze w nich żonie o wszystkim; o polityce, której oglądamy tu najsekretniejsze kulisy, często jaskrawy tworzące kontrast z bohaterską fasadą; o życiu obozowym, w którym tak oto na przykład odbijają się kłopoty hetmana w wojsku polskim:

„Zajechawszy tu do obozu – pisze hetman polny – siedzę jak na szynku i najmniej przez pół roku, jeśli tak długo żyć przyjdzie, siedzieć będę. Podzieć się gdzie nie masz. Wszyscy kupami ustawicznie chodzą, że jeść nie masz co, że lenungów⁷ trzeba, że armata wynieść nie może bez pieniędzy, na którą już z własnych moich 5000 wyliczyłem. Te 1000 czerwonych złotych dziś zastawić posłałem na lenungi, a to dlatego, że co godzina nieprzyjaciela wyglądać potrzeba. A szlachta tego ani w myśli mieć nie chcą; owszem mówią: że my się Tatarów nie boimy, tylko Kondeusza; a w ostatku niech tu nas i popalą, a my wolim tu odstarać wszystkiego, a iść przeciw tamtemu...”

Tak oto w tych listach odbija się najautentyczniejsze ówczesne życie polskie, widziane oczami człowieka, który z racji swoich wysokich szarż wszystko znał, we wszystkim był wmieszany, na dworze i w obozie, w wojnę i politykę, i o wszystkim mówił swojej Marysieńce tak szczerze jak księdzu na spowiedzi. Tylko czasem, kiedy zapuścił się w doniosłe sprawy państwowe i ich rozważania, naraz żalność ścisnęła mu serce i urywał, pisząc: *Mais assez de ces bagatelles*⁸, i znowu wracał do swoich serdecznych tęsknot i bólów. Są tam subtelności miłosne, które na tle tej siedemnastowiecznej Polski wydają się zadziwiająco egzotyczne...

Biedny Sobieski! Za bogato był obdarzony, za wysoko postawiony. Gdyby był zwykłym sobie szlachcicem i gdyby po nim zostały te listy, uznano by go niewątpliwie fenomenem, odnaleziono by i odkryto te listy, obnoszono by się z nimi, a ich autora uznano by za unikat sprawności, subtelności i prostoty języka, za jednego z naszych najtęższych prozatorów owej epoki. Ale Sobieski-pisarz miał to nieszczęście, że był rycerzem, hetmanem, królem; czyn jego przesłonił jego uczucia; błysk szabli, blaski korony, zaćmiły poufniejszy blask jego słowa. Obecnie czas byłby może przywrócić równowagę; nie ujmując ceny bohaterowi, oddać pisarzowi to, czego jest godzien. I życzyłbym, aby z

⁷ *lenung* a. *leynung* (z niem. die *Löhnung*) – żołd, strawne; por. także *lenungowanie*: wypłacanie żołdu. [przypis edytorski]

⁸ *mais assez de ces bagatelles* (fr.) – ale dość tych błahostek. [przypis edytorski]

okazji najbliższego obchodu odsieczy Wiednia zrobiono pośmiertnie Jana Sobieskiego – honorowym członkiem *PEN Clubu*.

II. Młodość Celadona

Celadonem zwał się najchętniej w listach do swojej Astrei; na chrzcie świętym dano mu proste imię Jana, a po przodkach wziął rosnące w dostojęstwa i znaczenie nazwisko Sobieskich. Skoro nazwisko to stało się nazwiskiem króla i godłem niedoszłej, ale planowanej dynastii, nie zbrakło mu najwspanialszych rodowodów. Tak sekretarz królewski Chruściński dedykuje królewiczowi Jakubowi genealogię, w której wywodzi Sobieskich od Lecha I, założyciela księstwa polskiego około 470 r. po Chr[ystusie]. „Lecz gdy Krakus świętego zabił Stanisława, – wraz z nim Sobieskich rzymskie wypędziły prawa” – dokończyłby z uśmiechem Fredro. Wobec takich starożytności nie dziw, że ród małżonki naszego króla, panny d'Arquien, wyprowadzali usłudni genealogiści od św. Ludwika, od Hugona Kapeta, a nawet od Klodwiga⁹.

W rzeczywistości splendor Sobieskich był świeższej daty, ale ród ten szybko szedł w górę, bogacił się i koligacił. Babka Jana była tylko Snopkowska, ale siostra już Radziwiłłowa. Kolebką rodu była Ruś Czerwona¹⁰. Dziadkiem Jana był Marek Sobieski, rycerz i rębacz zawołany, towarzysz wypraw Batorego; ojciec Jakub, za młodu wojażer po Europie, później żołnierz, autor „diariusza z wyprawy chocimskiej”, zażywający rozgłosu oratora i statysty, wojewoda bełski i kasztelan krakowski. Tę wysoką godność otrzymał na schyłku życia, skróconego podobno przez alterację¹¹ wynikłą ze sprzeczki z królem, w której Władysław IV miał nazwać nowo mianowanego „pana krakowskiego” – parweniusem! Nie szukać wdzięczności i pamięci u królów, bo kiedy niegdyś Władysław ruszał na Moskwę, parwениusz Sobieski przywiódł mu kilka chorągwi wystawionych własnym kosztem, a tak strojnych i świetnych, że je zwano „złotymi rotami”.

Po Sobieskich tedy wziął Celadon w spadku zamiłowanie do przepychu, junactwo, swadę, obrotność dyplomatyczną i ambit świeżego magnata. Ale takie wywody są zawsze ryzykowne; bo gdyby ktoś chciał włączyć do tego spadku miłość ojczyzny i wierność królowi, potknąłby się o figurę – Hieronima Radziejowskiego¹², syna rodzonej siostry Jakuba, odrośl tych samych Sobieskich.

*N'insistons pas*¹³, jakby powiedziała Marysieńka. Mamy, na szczęście, jeszcze wspanialszy zasób cnót rycerskich w rodzinie matki, Teofili z Daniłowiczów. Dziad jej to hetman Stanisław Żółkiewski, jedna z najwspanialszych postaci naszych dziejów. Po klęsce pod Cecorą wdowa po hetmanie musiała za zezwoleniem króla założyć w Żółkwi mennicę, aby rodowe srebra przebić na dwieście tysięcy talarów, żądanych jako okup za ciało męża i za syna w niewoli. Jan Żółkiewski umarł z ran; brat matki, Daniłowicz, zginął okrutną śmiercią z rąk wroga, jak później starszy brat Jana Sobieskiego – Marek.

Po matce Daniłowiczównie zachowała się zwięzła notatka, kreślona jej własną ręką. *Pamięć, iakom ia szła sa mąż, y iako się moje dzieci rodzili*. W istocie: data zamążpójścia, szczegółowa data urodzenia każdego z dzieci i ani słowa więcej. Jest coś przejmującego w tym lakonizmie. Było ich

⁹ ród (...) d'Arquien wyprowadzali (...) nawet od Klodwiga – Wywody genealogistów, wiodących ród d'Arquien od św. Ludwika, Hugona Capeta etc. byłyby, zdaniem prof. Forst-Battaglii, uzasadnione. (Prof. Battaglia powołuje się na swoją pracę w *Miesięczniku Heraldycznym*, 1933, 134) [Battaglia, Otto Forst de (1889-1965), pol. historyk i krytyk literacki pochodzenia austriacko-włoskiego; w marcu 1938 r. opublikował w „Przeglądzie Powszechnym” artykuł *Brązowanie Marysieńki*, będący odpowiedzią na publikację biografii żony Sobieskiego autorstwa Boy'a Żeleńskiego.; Red. WL.]. [przypis autorski]

¹⁰ kolebką rodu była Ruś Czerwona – Kolebką rodu Sobieskich była oczywiście nie Ruś Czerwona, ale Sandomierskie. Na Rusi (w Olesku) urodził się sam Sobieski. [przypis autorski]

¹¹ alteracja (starop.) – zdenerwowanie, wzburzenie. [przypis edytorski]

¹² Hieronim Radziejowski (1612–1667) – syn Stanisława Radziejowskiego i Katarzyny Sobieskiej, córki Marka Sobieskiego; podkanclerzy koronny, po konflikcie z królem Janem Kazimierzem, na którego rzucił wobec królowej pomówienie o romans z własną żoną, skazany na infamię i banicję w 1652 r., uciekł z Polski i aktywnie współdziałał z Karolem Gustawem podczas najazdu Szwedów na Polskę; utrzymywał też dwuznaczne kontakty z Bohdanem Chmielnickim i Kozakami; w 1662 r. rehabilitowany, stanął po stronie króla polskiego w czasie rokoszu Lubomirskiego, zmarł jako poseł Rzeczpospolitej do Turcji. [przypis edytorski]

¹³ *n'insistons pas* (fr.) – nie nalegajmy, nie naciskajmy. [przypis edytorski]

siedmioro: najstarszy Marek, drugi z kolei Jan (17 sierpnia 1629); następnego roku, 19 marca – o ile to nie omyłka w dacie?! – córka Zofia; potem Katarzyna, Anna, dwóch Stanisławów.

„Urodziłem się w Olesku, zamku na wysokiej górze. Podczas mego urodzenia były pioruny bardzo, tak że aż krawiec matki mojej od tego ogłuchł i był głuchym do samej śmierci. Tatarowie też podpadli w tenże właśnie czas pod zamek” – pisze król Jan III w autobiografii skreślonej na życzenie nuncjusza papieskiego. Nie brak w tym zgrupowaniu faktów wrodzonego Sobieskiemu pewnego zmysłu teatralności.

Wychowanie chłopców było żołnierskie, jak dla przyszłych rycerzy przystało. Wcześniej zaprawiano Marka i Jana do ćwiczeń wojennych. Matka, „kobieta męskiego serca”, wskazywała im drogę obowiązku. „Jak słodko jest umierać za ojczyznę, ucz się ode mnie” – czytali w Żółkwi na nagrobku pradziada; *aviti sanguinis ultor*¹⁴ – czytali na nagrobku wuja Daniłowicza.

Zarazem ojciec, człowiek bywały w świecie, wysoko na swój czas edukowany, dbał o wykształcenie synów. W r. 1640 wysłał ich do Krakowa, do szkoły Nowodworskiej (późniejszego gimnazjum św. Anny), gdzie spędzają lat blisko sześć. Szczegółowa instrukcja ojca wręczona „imć panu Orchowskiemu, dyrektorowi” młodych Sobieskich, stanowi ciekawy dokument troskliwości ojca oraz współczesnych pojęć wychowawczych. Wszystko tam jest wyszczególnione: nabożeństwo, zdrowie, obyczaje, ochędostwo¹⁵, miłość braterska, konwersacja, nauka. Główny nacisk położony na języki: łacina oczywiście w samej szkole; prócz tego w domu francuski, włoski, niemiecki, a także turecki jako potrzebny szlachcie mieszkającej na Rusi. Jako przedmioty: literatura, a zwłaszcza retoryka; historia, filozofia moralna, nieco fizyki. „W logiki, w metafizyki aby się nie wdawali, *omnino*¹⁶ nie chcę; bo te nauki są *hominum otiosorum*¹⁷, albo tych co się do teologii biorą, a ich trzeba *ad capessendam Rempublicam*¹⁸ ćwiczyć”.

Jest przyjęte zachwycać się tą ojcowską instrukcją. Mnie się ona wydaje dość prymitywnym pedagogicznym banałem owego wieku. Z takich recept wiódł się okropny makaroniczny styl i kraszone podniosłymi cytatami gadulstwo oratorów. Coś z polonusa, a coś z Poloniusza¹⁹. A w rezultacie pojechali młodzi Sobiescy do Paryża, niezdolni rozmówić się po francusku...

Bo w lutym r. 1646, szesnastoletni Jan i starszy od niego o rok Marek puścili się wraz ze swoim dyrektorem Orchowskim i z małym dworem za granicę dla dopełnienia edukacji. Takie podróże – w połowie XVII w. rzadsze już niż poprzednio – były przywilejem zamożniejszych panów. I tu zachował się cenny dokument: własną ręką Jakuba Sobieskiego kreślona *Instrukcja Synom moim do Paryża*; szczegółowe wskazówki, jak się mają zachować w drodze, jak przyglądać się światu, zwiedzać fortyfikacje, na wszystko otwierać oczy, o wszystko pytać, przede wszystkim zaś ćwiczyć się w językach. „To ozdoba każdego szlachcica polskiego i pochwała między przednimi ozdobami i pochwałami: umieć Języki”. Dobry pan Jakub uwieńczenie edukacji widzi w tym, co jest dopiero jej abecadłem.

Oprócz języków zaleca Jakub Sobieski synom ćwiczenia w stylu, w wymowie oraz studia historii starożytnej, Liwiusza, Tacyta, Swetoniusza. Nie zaniedbywać przy tym ćwiczeń fizycznych: gra w piłkę, konna jazda, szermierka (ale nie we Francji, bo tam łatwo przy tej nauce dopytać się zwady i pojedynku), woltyżerka na drewnianym koniu. Co się tyczy tańca, radzi ojciec uczyć się im *galardy* francuskiej i innych przedniejszych tańców (wobec tego, że królową polską została księżniczka francuska, francuskie tańce mogły być na dworze potrzebne), ale przyznaje, że mało dba o tę sztukę: „bodaieście na koniach da Bóg tańcowali, biiąc się z Turki y Tatary, tego wam życzę”.

¹⁴ *aviti sanguinis ultor* (łac.) – mściciel krwi dziada. [przypis edytorski]

¹⁵ *ochędostwo* (starop.) – porządek; strój. [przypis edytorski]

¹⁶ *omnino* (łac.) – całkowicie. [przypis edytorski]

¹⁷ *hominum otiosorum* (łac.) – dosł. ludzi próżnujących; próżniaków. [przypis edytorski]

¹⁸ *ad capessendam Rempublicam* (łac.) – do troski o Rzeczpospolitą. [przypis edytorski]

¹⁹ *Poloniusz* – drugoplanowa postać w tragedii Shakespeare'a *Hamlet*, ojciec Ofelii i Laertes; wcielenie dworaka. [przypis edytorski]

Muzykę, w szczególności grę na lutni, zostawia synom do woli, ale – pisze – „przyznam się, żebym żałował tego czasu, co byście na tym błazństwie strawili. Będziecie da li Bóg mieli tyle dostatków, że możecie muzykę chować. Lepiej, że oni sami wam będą grać, niż wy sobie”.

Od Polaków mają się trzymać z daleka dla plotkarstwa i złych obyczajów: najwięcej pomiędzy nimi takich, „co Cielętami przyjeżdżają do Cudzeyziemie, wyjeżdżają zacz Wołmi do Oyczyzny swoiey”. Przy tym rozmowa z rodakami przeszkadza do uczenia się języków.

Ale i przed Francuzami radzi ojciec mieć się na baczności, każe postępować sobie z nimi „iako z ogniem”. Bo to naród letki²⁰, niestateczny, kłótlivy, skłonny do pojedynków, wielkich kłąt, przysięg i bluźnierstwa. „Nalepiej tedy zdaleka²¹ z nimi, ani ich *contemnere*²², ani też się z nimi barzo kumać, bo oni się wnet zakochaia w człowieku, a potym go wnet porzucą”. Oto bez mała wszystko, co miał pan Jakub do powiedzenia o Francuzach, wysyłając synów po naukę i oświatę do Paryża.

Ten zwięzły sąd jest bardzo godny uwagi. Zważmy, że wojewoda Sobieski jest człowiekiem w Polsce wyjątkowo świątym, że za młodu spędził parę lat w Paryżu, gdzie był (podobno) uczniem najślawniejszego filologa Casaubon. I oto ta jego charakterystyka Francuzów horyzontem swoim nie różni się zbyt od tego, co by mógł powiedzieć ze słyhu jakiś przeciętny i dość ciemny szlachcic domator, jakiś pan Pasek. Świadczyłoby to, że między ówczesną Polską a Francją musiała być zasadnicza trudność zrozumienia się. Świadomość ta ma dla nas swoją wagę; bardziej może niż wszystko inne objaśni nam ona niepowodzenia „partii francuskiej”, którą postara się stworzyć w Polsce królowa Maria Ludwika.

Ale nasuwa się i inna wątpliwość. Może po prostu pan Jakub Sobieski nie był tym luminarzem, za jakiego uchodził i za jakiego nam go do dziś dnia podają? Zauważyłem, że w naszych wydawnictwach historycznych – zwłaszcza dawniejszych, ale nowsze często czerpią z dawniejszych bez kontroli – panuje obyczaj grandilokwencji²³ panegirycznej, trącej stylem mówek pogrzebowych. Ot, biorę do rąk „peregrinację” po Europie Jakóba²⁴ Sobieskiego z lat jego młodości, wydaną przez Edwarda hr. Raczyńskiego (Poznań 1833). Czytam we wstępie wydawcy: „Nie było w Paryżu uczonego, nie było wojownika, z którym by Sobieski przynajmniej znajomości nie zabrał, z wielu żył w ścisłej przyjaźni”. Chciałbym w to wierzyć; ale z jego książeczki wcale tego nie znać. Przeciwnie, trudno o coś bardziej jałowego niż te zapiski. Zwiedził młody Jakub Francję, Włochy, Portugalię, Hiszpanię, Anglię, Holandię, Niemcy, Austrię – co go czyniło na ów czas fenomenem! – ale wyniósł z tej „peregrinacji²⁵” dziwnie mało. Oto cały jego zapisek z miasta Dortrecht: „Miasto dosyć piękne, wzdłuż idące”. O innych jest nieco więcej, ale nie o wiele ciekawiej. Nawet ten Paryż! Najbardziej interesujący szczegół, jaki tam znajdziemy, dotyczy śmierci Henryka IV i stracenia jego mordercy Ravaillaca. Tego Ravaillaca rozerwano końmi i potem rozsiekano; publiczność zbierała kawałki jego ciała i w chusteczkach brała je do domów:

„Był jeden introligator – notuje pan Jakub Sobieski – tak zażarty przeciw temu Rawaillakowi, a był to gospodarz na pozór stateczny, z brodą wielką, przyniósł też był kilka sztuczek ciała tego Rawaillaka i z wzdardy wielkiej i z jadu smażył je w jajecznicy i jadł je; na co oczy moje i JP. Branickiego patrzyły; nawet śmiał nas obydwóch prosić na ten swój bankiet, żebyśmy mu go dopomogli jeść; ażeśmy mu w oczy obadwa plunawszy, szliśmy od niego. Ja rozumiem, że się ten chłop od swojego jadu na ten czas wściekł jako pies jaki...”

²⁰ *letki* – dziś popr.: lekki. [przypis edytorski]

²¹ *zdaleka* – dziś popr. z daleka. [przypis edytorski]

²² *contemnere* (łac.) – pogardzać. [przypis edytorski]

²³ *grandilokwencja* – górnolotny, napuszony styl mówienia. [przypis edytorski]

²⁴ *Jakób* – tak w daw. pisowni (por. Jacob); dziś: Jakub. [przypis edytorski]

²⁵ *peregrinacji* – dziś: peregrynacji; *peregrynacja*: podróż. [przypis edytorski]

I jeszcze inne zdarzenie. Jakub Sobieski zachorował: lekarz Szkot puścił mu krew kilkadziesiąt razy i chciał osłabionemu tą kuracją jeszcze krew puszczać, powiadając, że „nie trzeba tych Polaków oszczędzać, bo każdy Polak jak wół, siła ma krwi w sobie...”

Z takich wiadomości i z takich anegdot składa się wyłącznie ów tyle sławiony diariusz podróży. Bierzmy tedy krytycznie legendy o paryskim pobycie Jakuba Sobieskiego; a zaraz ujrzymy, że nie mniej krytycznie trzeba brać paryski pobyt Jana.

Do Paryża jechali młodzi Sobiescy nie śpiesząc się. Obejrzeni po drodze spustoszone wojną trzydziestoletnią Niemcy, gdzie droga miejscami była bardzo niebezpieczna z przyczyny band żołnierskich i rozbójniczych. Jechali na Frankfurt, Berlin, Witemberk, Lipsk, Antwerpię; do Paryża przybyli 9 iunii²⁶ 1646. Całą tę drogę opisał bardzo szczegółowo towarzyszący im imć pan Sebastian Gawarecki.

O pobycie młodych Sobieskich w Paryżu nafantazjowano bardzo dużo, a głównym źródłem tych fantazji jest obszerna *Historia Jana Sobieskiego i Polski* napisana po francusku w r. 1827 przez hr. de Salvandy. Najśmielsze dzisiejsze *Vies romancées*²⁷ są zaiste opoką wiedzy w porównaniu z tym dziełem naukowym, w którym na przestrzeni tysiąca blisko stronic nigdy autor nie podaje, skąd zaczerpnął jakąś wiadomość. Dowolności te nie były dla cudzoziemców przeszkodą: książka, opowiadająca dzieje Sobieskiego w skrót całkowitej historii Polski, trafiła na moment zainteresowania Polską, zyskała wielką poczytność, miała kilka wydań, a rosła w powagę w miarę jak jej autor został z czasem akademikiem, parokrotnym ministrem oświaty, ambasadorem. Ale, co osobliwsze, i w polskiej nauce historii dzieło Salvandy'ego, ekliwio idealizujące postać naszego bohatera, odegrało niemałą rolę. Julian Bartoszewicz poddaje je – z okazji częściowego polskiego przekładu (1849) – druzgocącej krytyce; mimo to Plebański jeszcze w r. 1862 pisze: „Rzadko znaleźć książkę tak pełną błędów jak *Historia Sobieskiego* przez Salvandy'ego, a jednak jest ona prawie jedyną wyrocznią dla wielu uczonych”.

I do dziś dnia pokutuje to i owo z tych legend nawet w poważnej wiedzy o Sobieskim, przy czym zatraciła się najczęściej pamięć, że źródłem jakiejś obrosłej już tradycją wiadomości jest – bajeczka Salvandy'ego.

Do takich należy pobyt Sobieskich w Paryżu. Wedle kwiecistej stronicy Salvandy'ego, Jan Sobieski dojrzywał w salonie słynnej księżnej de Longueville, gdzie chciwie przysłuchiwał się rozmowom bohaterki Frondy²⁸ i wpatrywał się w brata księżnej, wielkiego Kondeusza. „Kondeusz²⁹ umiał odgadnąć genialnego człowieka w tym dwudziestoletnim cudzoziemcu, który wpijał w niego żarliwe spojrzenie, pośród znamienitej ciżby, przykutej do stóp jego siostry urokiem stanowiska, dowcipu i wdzięku”. Zażyłość między Sobieskim a Kondeuszem miała jakoby przetrwać całe życie i utrwalić się w korespondencji. Salvandy wie nawet, o czym rozmawiali: Sobieski, obywatel wolnego kraju, zadziwiał Kondeusza horyzontami politycznymi; udzielał Francji rad, widział lekarstwo na jej niedole w zwołaniu stanów generalnych, co – gdyby go posłuchano – oszczędziłoby może Francji despotyzmu Ludwika XIV i przyszłej rewolucji! W zamian książkę opowiadał młodemu Polakowi o marszach i bitwach, a każde jego słowo odciskało się w umyśle pojętnego ucznia, aby niebawem wydać owoce. W salonie pani de Longueville, kogóż nie spotkał, kogóż nie poznał młody Jasio! Turenne³⁰, Colbert³¹, Bossuet³², Vauban³³, pani de Sévigné³⁴ – już sławna, powiada Salvandy – wszyscy tam jakby sobie dali dla niego rendez-vous³⁵.

²⁶ iunii (łac.) – czerwca. [przypis edytorski]

²⁷ *vies romancées* (fr.) – powieści biograficzne (fabularyzowane). [przypis edytorski]

²⁸ *Fronde* – ruch rewolucyjny, antyabsolutystyczny we Francji w latach 1648–1653; głównie mieszczańsko-chłopski, mający jednak powiązania z arystokracją. [przypis edytorski]

²⁹ *Kondeusz* – Ludwik II książę de Condé (1621–1686) z dynastycznej rodziny Bourbonów; marszałek Francji, wybitny dowódca w czasie wojny trzydziestoletniej; sławę przyniosło mu zwycięstwo pod Rocroi. [przypis edytorski]

³⁰ *Turenne* (1611–1675) – właśc. Henri de la Tour d'Auvergne, wicehrabia de Turenne; dowódca wojsk fr. w wojnie trzydziestoletniej. [przypis edytorski]

Już dawno temu (1898) Waliszewski zwracał uwagę, że to wszystko jest z palca wysane, choćby dlatego, że księżnej de Longueville³⁶ nie było wówczas w Paryżu; była z mężem w Monasterze w Westfalii (gdzie smażył się słynny pokój westfalski) na ważnej ambasadzie. Poza tym, relacja ta roi się od anachronizmów, które nie przynoszą zaszczytu przyszłemu akademikowi. Tak, Fronda rozpoczęła się aż po wyjeździe Sobieskiego; pani de Sévigné miała w r. 1646 dwadzieścia lat, była młodziutką mężatką, jeżeli z czego sławną, to chyba ze swoich niedoli małżeńskich; Kondeusz, zwycięzca spod Rocroy, miał lat dwadzieścia pięć i rychło potem miał zostać zdrajcą kraju i banitą; sam Sobieski miał lat nie dwadzieścia, ale ledwo siedemnaście, i bardzo wątpliwe jest, czy z gimnazjum św. Anny wyniósł projekt stanów generalnych dla Francji. Korespondencji jego z Kondeuszem śladów nie ma, zapewne dlatego, że nigdy Sobieski Kondeusza nie widział na oczy. Mimo to, relacje o sukcesach młodego Sobieskiego w salonach pani de Longueville, o stosunkach jego z Kondeuszem, powtarzają się po dziś dzień we wszystkich najnowszych nawet monografiach jako niepodlegający wątpliwości fakt, bez żadnego udokumentowania. Korzon powołał się na Salvandy'ego, inni przepisują z Korzona. Ostatnią redakcją tego fantazyjnego Salvando-Sobieskiego w Paryżu znajdujemy w angielskiej monografii Mortona³⁷ (przekład francuski 1933).

Rzeczywistość paryska – co nie ubliża w niczym naszemu bohaterowi – wydaje się znacznie skromniejsza. Młodzi Sobiescy wybrali się małym dworem, pod opieką imć pana Orchowskiego, na studia. Ojciec zaleca im oszczędność, czego by na pewno twórca „złotych rot” nie czynił, gdyby synowie mieli paradować w świecie. W instrukcji swojej dla synów wojewoda Sobieski powiada, że nie prosi dla nich o listy polecające od króla i królowej z przyczyny słabej ich jeszcze znajomości francuskiego („niepodobną im była konwersacja francuska”); dosyć będzie czasu z tymi listami, kiedy nadejdzie wiadomość, że synowie już zdolni są „konwersować iakokolwiek z Dworem”. Niestety, w kilka dni właśnie po przybyciu synów do Paryża pan Jakub umiera (dn. 13 czerwca w 1646), o czym młodzi Sobiescy otrzymali wiadomość dn. 9 lipca. Więcej niż wątpliwe jest, czy wobec ciężkiej żałoby byłiby z nich mogli korzystać. Jeśli byli świadkami łowów królewskich w Saint-Germain, to jedynie jako zwykła publiczność.

Odbija się to wszystko dość wyraźnie w zapiskach podróży imć Gawareckiego. Obfity w informacje z podróży po Niemczech diariusz ten staje się dziwnie ubogi w czasie pobytu w Paryżu; na kilkunastu stronicach, oprócz banalnego opisu budowli i paru wiadomości w rodzaju: „Temi czasy po Academiach różne Comedie odprawiają się”, nie ma dosłownie nic do zanotowania. Trudno by to pogodzić ze światowym jakoby trybem młodych pań. Natomiast skoro tylko pożegnali Paryż i puścili się w objazd po Francji, imć Gawarecki jest znowuż w swoim żywiole, każdy dzień podróży dostarcza drobnych przygód i spostrzeżeń.

Jeżeli rozwinąłem obszerniej ten punkt, to dlatego, że wydaje mi się celowsze³⁸ poruszać fakty niejasne i sporne, niż powtarzać rzeczy wielokrotnie powiedziane. Z natury tego studium wynika

³¹ Colbert, Jean-Baptiste (1619–1683) – minister finansów na dworze Ludwika XIV. [przypis edytorski]

³² Bossuet, Jacques-Bénigne (1627–1704) – biskup katolicki, nadworny kaznodzieja Ludwika XIV, wychowawca jego syna; teolog, wyraziciel myśli tradycjonalistycznej, wykorzystanej następnie przez konserwatyzm; uzasadniał sakrę władzy królewskiej (absolutyzmu) poprzez wykład porządku naturalnego świata i pochodzenie władzy świeckiej bezpośrednio od Boga oraz przedstawił Kościół jako instrument Opatrzności Bożej pozwalający harmonijnie spoić historię świętą z polityką; jednocześnie stworzył podstawy teorii spiskowej dziejów, występując przeciw jezuitom; prowadził korespondencję filoz. z Leibnizem; dążył do nawrócenia protestantów z powrotem na katolicyzm (nawrócił marszałka Turenne'a). [przypis edytorski]

³³ Vauban, Sebastien de (1633–1707) – markiz; marszałek Francji, ekonomista; wybitny inżynier wojskowy i architekt, twórca nowego sposobu budowania fortyfikacji i twierdz oraz technik oblężniczych. [przypis edytorski]

³⁴ pani de Sévigné – Marie de Rabutin-Chantal (1626–1696), markiza de Sévigné, przeszła do historii literatury fr. jako autorka listów do córki stanowiących zarazem barwne odzwierciedlenie epoki, w której żyła. [przypis edytorski]

³⁵ rendez-vous (fr.) – spotkanie. [przypis edytorski]

³⁶ księżnej de Longueville – Anne Geneviève de Bourbon (1619–1679); siostra Kondeusza. [przypis edytorski]

³⁷ angielska monografia Mortona – J. B. Morton, *Sobieski King of Poland*, London 1932. [przypis edytorski]

³⁸ celowsze – dziś popr.: bardziej celowe. [przypis edytorski]

zresztą, że obchodzi nas w nim przede wszystkim człowiek; sprawa zaś pobytu w Paryżu wydaje się nieobojętną dla psychiki późniejszego Celadona. Przyjęte jest – znów dużo przyczynił się tu Salvandy! – wiele budować na tym paryskim roku, z którego Sobieski jakoby wyniósł głęboką kulturę ducha i wysokie wykształcenie; wszystko to jest po trosze dorobione wstecz, jak ów rodowód od Lecha I. Nie wydaje mi się, aby młody absolwent gimnazjum św. Anny miał dostateczne przygotowanie po temu. Czy instrukcje ojcowskie były po śmierci ojca przestrzegane – nie wiadomo; podobno młody Jan Sobieski zaciągnął się na jakiś czas do muszkietierów; opuścił wreszcie Paryż, gdzie bawił niespełna rok, mając ledwie osiemnaście lat. Edukacja jego przyjdzie później i będzie zupełnie inna.

I sukcesy w Paryżu zapewne miał, ale też inne. O ile z owego pobytu Sobieskiego w Paryżu nie ma śladów pisanych, odnajdzie się po wielu latach – problematyczny wprawdzie – ślad żywy. Będzie nim ów zagadkowy po dziś dzień awanturnik Brisacier – niedoszły „książę Brisacerski”! – którego intryga zaprzętnie na dłuższy czas parę dworów Europy i przyczyni się do rozdzwieków między Ludwikiem XIV a jego świeżo ukoronowanym sprzymierzeńcem. Ale o tym później.

Dn. 1 maja 1647 r. ruszyli młodzi Sobiescy z Paryża „na peregrinatia dla przeirzenia się w miastach y dla przewidzenia prowincyi francuskich”. Zwiedzili Francję dokładnie: Orlean, Blois, Tours, Saumur, Rochelle, Poitiers, Bordeaux, Grenoble, Lyon, Rouen, Amiens, Calais – oto główne etapy. Z Calais do Anglii. „W mieście Canteberi – pisze wierny Sebastian Gawarecki – gospoda piękna y dostatnia, ale ladaiaako traktowaniśmy byli, a zapłacić drogo musieli. Wino hiszpańskie dobre. Tu zażywaią do stołu maluśkich talirzyków drewnianych, który kto stłucze, to za niego ieden penik, to iest grosz angielski, powinien dać”.

Mimo woli przy tej naiwnej relacji przypomina mi się czterdzieści lat wprzód odbyta „peregrinatia” ojcowska; niewiele różnią się od siebie poziomem; takie to i były te szlacheckie wojaże... Potem Londyn, Oxford, potem Holandia, gdzie podróżni zwracają uwagę na sztukę fortyfikacyjną; wreszcie dn. 24 lipca 1648 r. wyjeżdżają Sobiescy z Brukseli do Polski. Półtrzecia³⁹ roku blisko trwała ta podróż, mniej zapewne bogata w książkową naukę niż w poznawanie obcych zwyczajów i obyczajów.

Kiedy młodzi panicze stanęli z powrotem na ziemi polskiej, zastali w kraju głębokie i tragiczne zmiany. Król umarł, bezkrólewie ujrzało Polskę w ogniu wojny kozackiej. Chmielnicki pobił wojska hetmańskie nad Żółtymi Wodami; pod Korsuniem obaj hetmani, Potocki i Kalinowski, dostali się z mnóstwem rycerstwa do niewoli. Wreszcie, wyruszywszy w ogromnej sile, w kilkadziesiąt tysięcy ludzi – pięciokroć tyle służby! – z przepychem ryszunków, taborów i rzędów, dumnie i bitnie, szlachta uciekła bez bitwy spod Piławiec w ataku niepojętej paniki. Tuż po tej potrzebie piławieckiej – „plugawieckiej”, jak ją zaraz ochrzczono – stanęli Marek i Jan Sobiescy, wprost z drogi, przed matką w Zamościu. „Wyrzekłabym się was, gdybyście mieli być tacy jak ci spod Piławiec” – rzekła im podobno rycerska niewiasta. I miała dodać: „Z nią albo na niej⁴⁰”, wskazując na tarczę rodową gestem Spartanki. I od tej chwili zaczyna się dla młodych Sobieskich służba, która dla Marka skończyła się rychło chlubną śmiercią, a dla Jana miała trwać aż do zgonu.

Tak by powiedział polski Plutarch. W rzeczywistości, było to – jak zwykle – mniej prostolinijne. Bo w kilka lat potem matka-patriotka opuści kraj, aby osiąść za granicą, a pozostały przy życiu syn znajdzie się w obozie Szwedów. Dziedzictwo Żółkiewskich zagubiło się na jakiś czas; odnajdzie się z czasem.

Kiedy zważymy rolę matki Sobieskiego, czujemy – poza panegirycznym frazesem dziejopisów – jakąś tajemnicę. Matka ta, mimo że żyła do końca r. 1661, znika jak gdyby całkowicie z życia syna. Wiemy, że kilka lat bawiła poza krajem, ale wróciła z obczyzny w r. 1658. Poprawny udział w pogrzebie, oto wszystko co wiemy o stosunku Jana do niej. Podobno powodem opuszczenia kraju

³⁹ *półtrzecia* (starop.) – dwa i pół. [przypis edytorski]

⁴⁰ *z nią albo na niej* – „Wrócić z tarczą albo na tarczy”: sentencja pożegnania wojownika wyruszającego na wojnę w Sparcie oznaczająca życzenie powrotu zwycięzcą albo poległym, ponieważ uciekając żołnierze porzucali tarcze, aby lżej im było biec, natomiast poległych znoszono z pola bitwy używając tarczy jako noszy. [przypis edytorski]

przez Teofilę Sobieską był wstrząs, jakim stał się dla niej zgon Marka, wstawionego już w obronie Zbaraża: zginął okrutną śmiercią pod Batohem (1652). A zginął w szczególnie bolesnych dla tej matki okolicznościach. Bo nawet nie wiadomo na pewno, co się z nim stało; wedle najczęstszej wersji, ścięto go jako jeńca przed namiotem Kantemira, ale i to nie jest pewne. Jana, który poprzednio walczył przy królu pod Zborowem, nie było wówczas w szeregach; podobno leżał ranny w pojedynku: może raczej w jakiejś zwadzie, bo pojedynki były wówczas w Polsce rzadkością. Podobno matka, która osobliwie kochała Marka, nie mogła darować Janowi tej nieobecności. W Marku widziała ona – i inni – przyszłość rodu: wichrowatego Jana, skłonnego do burdy i miłostek, mniej ceniła. Pograżona w boleści, czyni wielkie fundacje dla pamięci starszego syna i przenosi się do Włoch. Wszystko to wiadome jest dość mglisto; może znów historycy woleli nie tykać drażliwych spraw. Szajnocha wspomina o niechęci matki do syna; dworzanin króla Jana, Daleyrac, powiada wprost w swoich zapiskach, że pani Sobieską w tym samym stopniu kochała starszego syna, w jakim nienawidziła młodszego.

Ten punkt jest dla nas nader interesujący, całkowite bowiem osamotnienie, w jakim znalazł się młody Jan Sobieski, przygotowuje niewątpliwie ową bezpodzielną nad nim władzę ukochanej kobiety. I nie tylko osamotnienie: jest tu jakby jakiś dość zagadkowy uraz na punkcie rodziny. Miał siostrę; zapewne. Ale w liście swoim do żony w r. 1668 pisze Sobieski, że „wszyscy wiedzą z dawna o tej mojej intencji, że gdyby mi się było żenić nie przyszło, tedy bym tak moje dysponował dobra, jakoby się żaden z nich nie cieszył krewny”... Mimo że Sobieskiego, igrając z jego nazwiskiem, nazywano dość często „Sobkiem”, deklaracja taka jest w owych pełnych kultu rodowego czasach czymś dość osobliwym i nie mamy dla niej wytłumaczenia. Może by się ono znalazło w tymże liście, bo tuż po owym zdaniu widzimy znak wydawcy, że coś tam opuszczono; i w ogóle może by się w tych listach Sobieskiego znalazło klucz do niejednej poufnej tajemnicy – gdyby były inaczej wydane.

Ach, te nasze cenzurki! Dam przykład, jak u nas traktowano wydawanie źródeł. Istnieje bardzo ciekawa korespondencja pana des Noyers, sekretarza Marii Ludwiki, wydana w oryginale w Berlinie w r. 1859. Przedtem, w r. 1844, ogłosił część tych listów w polskim przekładzie zasłużony Edward Raczyński w zbiorze pt. *Portofolio królowej Marii Ludwiki*. Charakteryzując w którymś liście króla Jana Kazimierza, des Noyers powiada, że „w pokoju króla rozmawia się tylko o wszeteczeństwach” (*on ne parle que de luxure*); polski wydawca zmienia to na: „W jego pokoju nie rozmawiają o niczym jak o Piśmie Świętym⁴¹...”

Wróćmy do naszego bohatera. Po śmierci Marka Jan zostaje przyszłym dziedzicem trzech rodów: Żółkiewskich, Daniłowiczów i Sobieskich, spadkobiercą olbrzymich włości. Jest starostą jaworowskim. Ale, urodzony żołnierz, służy dalej wojskowo. W r. 1653 staje przy królu na czele własnej chorągwi pancernej pod Żwańcem; idzie dobrowolnie jako zakładnik między Tatarów; posłuje przy Bieganowskim do Turcji, jak gdyby chciał zawczasu dobrze poznać przyszłego wroga. Bije się z Rosją i z Kozakami pod Ochmatowem. Aż w r. 1655 zjawia się na dworze królewskim w Warszawie, gdy stolica bawi się i szumi, nie przeczuwając bliskiego potopu, który omal nie zatopił całego kraju.

Dwudziestosześcioletni Sobieski był wówczas ideałem młodego polskiego szlachcica. Rosły, przystojny, krzepki, zapalny jak proch (*la poudre* – to jeden z jego pseudonimów w późniejszej korespondencji z Marysieńką), wstawiony męstwem, obyty przy tym w świecie i dworny kawaler, wielce czuły na wdzięk niewieści, musiał ciągnąć ku sobie niejedne piękne oczy. I tam, na dworze, w r. 1655, poznaje kobietę, do której miłość zdecydowała o kolejach jego życia. Bohater spotkał swój los, Celadon – swoją Astreę.

⁴¹ o wszeteczeństwach (...) o Piśmie Świętym – Dokąd posuwała się fałszywa i śmieszna pruderia, świadczyć może fakt, że, spostrzegłszy w pierwszych arkuszach *Listów* Jana III z wyprawy wiedeńskiej zwyczajny zwrot króla: „Dzieci całuję y obłapiam”, ten sam wydawca wszędzie zasmarował to ostatnie słowo czarnym tuszem (wydanie z r. 1823). W następnym roku (1824) wyszło nowe wydanie tych samych listów; może poprzednie wycofano z powodu tej skazy; w nowym opuszczono już wszędzie inkryminowane słowo. [przypis autorski]

Ale to też nie będzie takie proste.

III. Szkoła królowych

W tym samym czasie, gdy młodzi Sobiescy człapali konno przez Niemcy udając się po naukę do Paryża, wiosną r. 1646 wjeżdżała w granice Polski świeża jej królowa, zaślubiona już przez prokurację⁴² Władysławowi IV, Maria Gonzaga, księżniczka de Nevers i de Cleves, księżniczka Mantui itd. itd. Młoda pani pochodzi z rodu, w którego żyłach płynie krew wszystkich krajów: Francji, Włoch, Niemiec, Hiszpanii, Grecji; rasa awanturnicza, gwałtowna, zarazem inteligentna i skłonna do intrygi. Ród do połowy XVI w. włoski, później – przez małżeństwo – przeszczepiony do Francji.

Maria Ludwika, urodzona w r. 1611, zatem wówczas trzydziestopięcioletnia, miała przeszłość dość tajemniczą. Mówię o przeszłości serca. Już to samo, że piękna, bogata i można księżniczka pozostała do tak późnego – jak na owe czasy – wieku niezamężna, było dość niebanalne. Wciąż mijają się ze swoim losem. Mając lat osiemnaście, rozkochała brata królewskiego Gastona, który byłby ją może wykradł, gdyby Richelieu nie uprzedził jego zamiarów, osadzając z kurtuzją Marię w zamku Vincennes, służącym także za więzienie stanu: delikatna wskazówka, że małżeństwo to nie byłoby po myśli dworu. Później omal nie została królową polską: kiedy w r. 1635 sprezentowano Władysławowi IV portrety trzech księżniczek francuskich, kandydatek do jego ręki i tronu, wybrał „na oko” Marię; ale senat zawyrokował inaczej, zwyciężyła Austriaczka. Czy byłby uzyskał rękę Marii młody Cinq-Mars, ulubieniec króla, który rozkochał się w starszej od niego o dziesięć lat księżniczce, nie wiemy; ale, nim przyszło do decyzji, nieszczęsny młodzian dał jako zbrodnień stanu w r. 1642 głowę na szafocie, licząc lat dwadzieścia dwa. Otrze się o życie Marii przyszły wielki Kondeusz – wówczas młody książę d'Enghien; zapłaczę się w nie – jeżeli wierzyć niedyskrecjom jej siostry – jakiś Włoch niskiego rodu, dla którego Maria Gonzaga gotowa była poświęcić swoje stanowisko. Co było i jak było, nie zdradzą nam tego rozumne, poważne oczy Marii, która, na wespół już zrezygnowawszy z życia, trawiła je albo na samotnych dumaniach, na dewocji, albo na inteligentnych rozmowach w salonach, gdzie tworzyła się wówczas literacka kultura Francji. Ponowną możliwość korony polskiej przyjęła niby radosną niespodziankę. Miare jak niecierpliwie, z jakim napięciem czekała księżniczka wiadomości z Warszawy, daje tryumfalny list ambasadora francuskiego, pana de Brégy:

„Dzięki Najwyższemu!... – pisze dn. 13 lipca 1645 r. – Wasza Książęca Mość jesteście mianowana polską królową!... Jakżem szczęśliwy, że tę pocieszającą nowinę ja pierwszy Najjaśniejszej Pani przynoszę!”...

Tym razem nie było obawy, aby dwór francuski stawiał przeszkody: następca Richelieu, Mazarin, chętnie pozbywał się z Francji tej „niespokojnej głowy”.

Znane są relacje o przybyciu posłów polskich i o zbytku, jakim olśnili Paryż. Z końcem r. 1645 wyruszyła Maria do Polski z licznym dworem, w orszaku młodych i ładnych pańienek. Samo to świadczyłoby o geniuszu politycznym początkującej królowej, bo ten seraj miał być najskuteczniejszym orężem w walce przeciw wpływowi austriackim. Młode Francuzki rozkochały w sobie wielu panów polskich, a Jan Sobieski może być przykładem, jak królowa umiała używać tych narzędzi. Te panny, to był najsolidniejszy kapitał sławnej „partii francuskiej”, a zięciowie dworu – z prawej i z lewej ręki – okazali się jedynymi, na których można było budować.

Wśród tego młodego dworu znajdowała się dziewczynka, której osoba była spowita lekkim cieniem tajemnicy. Po co królowa wiozła z sobą to dziecko do Polski, nie było zupełnie zrozumiałe. Była to Maria Kazimiera, córka margrabiego de la Grange d'Arquien i Franciszki de la Châtre. Ojciec był skromnym kapitanem w gwardii *Monsieur* (brata królewskiego), rodzina była liczna, majątek skąpy. Matka panny d'Arquien była niegdyś guwernantką Marii Ludwiki, która wzięła z sobą dziewczynkę, aby ulżyć rodzicom. Może się dla niej coś znajdzie z czasem w Polsce.

⁴² przez prokurację (z wł. *per procura*) – przez pełnomocnika. [przypis edytorski]

Wszystko w tych początkach Marii Kazimiery jest trochę niejasne, począwszy od wieku. Dawniejsi kronikarze i historycy określali datę jej urodzenia rozmaicie: 1634, albo 1635, albo „około 1635” – inni wreszcie 1638. Aż, znaleziony pod koniec ubiegłego stulecia własnoręczny diariusz królewicza Jakuba Sobieskiego, kreślony już po śmierci matki, niespodzianie odmłodził Marysieńkę⁴³, podając wyraźnie w dwóch miejscach datę jej urodzenia: 28 czerwca 1641 r. Ogłaszając ów zapissek, Mycielski (*Cztery portrety królowej Marysieńki*) konkluduje: „Kwestia więc jest już nareszcie przecięta: wszystkie możliwe dotychczasowe porównawcze kombinacje i hipotezy upadają przed wiarygodnością tej własnoręcznej syna królowej zapiski”... Jakoż, od tego czasu, przyjęto rok 1641.

Nie mam nic przeciwko temu, aby ładną kobietę odmładzano; mimo to nie wydaje się, aby ten diariusz królewicza rozstrzygał rzecz tak stanowczo. Syn zapisał zapewne tylko to, co mógł wiedzieć od matki; czyli datę, którą raczyła ustalić sama Maria Kazimiera. Ale oto zaraz natykamy się na sprzeczności. Wedle tej daty, miałaby Marysieńka cztery lata w chwili przybycia do Polski; natomiast nadworny lekarz króla Jana, O'Connor, podaje w swoim pamiętniku, że przybywając do Polski, przysła królowa miała lat „niespełna dwanaście”. Komu wierzyć w epoce, gdy z datami obchodzono się dość swobodnie?

Z punktu widzenia „romansu psychologicznego” który tu na marginesie historii kreślimy, nie jest obojętne, czy, poznając Jana Sobieskiego, Marysieńka miała lat 14, czy 20 lub 21; czy, puszczając się w swoją zuchwałą podróż do Paryża, będzie młodziutką 21-letnią mężatką, czy też 28-letnią kobietą; niestety, wątpliwe jest, aby się kiedy udało rozstrzygnąć te sprzeczności.

Jeżeli co by mogło poprzeć tezę „Marysieńki odmłodzonej”, to – metryki hipotetycznych jej ojców. Bo plotka – może niedorzeczna, ale dość uparta – czyniła ją – córką Marii Ludwiki, jedni szeptali, że to jest owoc miłości z Cinq-Marsem, inni przypisywali ojcostwo Kondeuszowi. Podsycił plotki epizod, który się zdarzył w podróży królowej i który opóźnił o kilkanaście dni przybycie jej do Warszawy. Mianowicie król Władysław, dotąd niecierpliwie oczekujący nowej małżonki, dał jej nagle do poznania, aby się nie śpieszyła do stolicy, ale aby zaczekała w Gdańsku na dalsze zlecenia. Przyczyną miały być rewelacje, jakie ktoś przywiózł królowi co do przeszłości Marii Ludwiki – właśnie w związku z tym dzieckiem.

Nikt z historyków – a zajmowano się tym dość wyczerpująco – nie bierze dziś serio tej wersji. Król Władysław posiadał zbyt dobry wywiad, aby prosząc o rękę Marii Gonzagi nie miał być dobrze poinformowany o jej życiu i charakterze. Zarazem, skoro raz otrzymał ją z rąk królowej Francji, która wydała Marię za męża „jak własną córkę”, nie do pomyslenia jest, aby mógł wszczynać tak niewczesne kwestie. Zdaje się, że o ile były tarcia (które w istocie opóźniły przyjęcie królowej w Warszawie), były one – jak na królów przystało – wyłącznie natury finansowej. Chodziło o resztę posagu i o jakiś cenny krzyż diamentowy, który w skład tego posagu miał wchodzić. A posag Marii Gonzagi miał doniosłe przeznaczenie militarno-polityczne.

Jeżeli król Władysław, zastarzały kobieciarz, przy boku półoficjalnej kochanki, panny d'Eckenberg, bez zbytnej niecierpliwości oczekiwał jadącej ku niemu żony, to samo można powiedzieć o tej, która z licznym orszakem zbliża się do Polski. To, co Maria Ludwika słyszała o królu, nie było zbyt pociągające; pięćdziesięcioletni podagryk, wstający z łóżka aż po obiedzie,

⁴³ *diariusz królewicza Jakuba Sobieskiego (...) odmłodził Marysieńkę* – Data urodzenia Marii Kazimiery, przyjęta na zasadzie *Diariusza* syna jej, królewicza Jakuba (rok 1641), jest, zdaniem prof. Battaglii, ścisła, inne zaś dawniej przyjmowane daty trzeba uznać za błędne. Ścisłość daty 1641 r. można stwierdzić na zasadzie kronik domu rodu La Grange. Sprzeczność między relacjami dotyczącymi wieku Marii Kazimiery w chwili przybycia do Polski a zapisem nadwornego lekarza O'Connora, określającym jej ówczesny wiek na lat 12, tłumaczy prof. Battaglia tym, że po pierwszym przybyciu do Polski Maria Kazimiera wróciła do Francji do rodziny, spędziła dzieciństwo w zamku Prie de Nivernais, po czym w r. 1652 przybyła ponownie do Polski. O tym drugim przybyciu mówi O'Connor, podczas gdy inni kronikarze o pierwszym (zdaniem prof. Battaglii niezupełnie pewnym); [Battaglia, Otto Forst de (1889-1965), pol. historyk i krytyk literacki pochodzenia austriacko-włoskiego; w marcu 1938 r. opublikował w „Przeglądzie Powszechnym” artykuł *Brązowienie Marysieńki*, będący odpowiedzią na publikację biografii żony Sobieskiego autorstwa Boy'a Żeleńskiego; Red. WL.]. [przypis autorski]

ocięwały, otyły... Ciągnęła ją władza, wielka gra polityczna, do której miała pasję, a której nie mogła się dorwać we Francji. I w istocie Maria Ludwika miała być najczynniejszą z kobiet, jakie kiedykolwiek zasiadały na tronie polskim.

Jechała bez pośpiechu, ale z ochotą i z ufnością w swoją gwiazdę. Jest zima, mróz, droga dobra, królowa dzielnie znosi trudy, nie przerażając się nawet epizodów wojennych, na które natyka się w drodze przez Niemcy. Od granic Polski zaczynają się znowuż nieustające fety, przyjęcia, uczyty, kawalkady, łacińskie oracje i repliki. Panowie polscy przesadzają się w zbytku. „Wszystko, co Grecy pisali o bogactwach i zbytku dawnych Persów, nie wyrównywa temu, cośmy widzieli” – notuje towarzyszący królowej Francuz *Laboureur*. Przy stole uginającym się od potraw Francuzki udają, że jedzą, nieprzywykłe do szafranu i korzeni, stanowiących podstawę polskiej kuchni. Największe fety czekają w bogatym Gdańsku, gdzie dla uczczenia królowej tańczy przed nią pięćdziesięciu Murzynów z bębnami i piszczałkami; słowem – jazz! I o ludzie nie zapomniano: na szczycie namydlonego słupa zawieszono kompletne ubranie – zdobycz dla najzręczniejszego. „Mówiono, że królowa w kieszenie włożyć kazała 100 talarów, lecz to się prawdziwym nie okazało” – notuje współczesny a sumienny świadek.

Po przymusowym postoju w Gdańsku nowa dyplomatyczna kwarantanna w Falentach – wreszcie w marcu r. 1646 przybywa oblubienica do Warszawy. Spotkanie odbyło się w katedrze św. Jana. Król przyjął żonę obojętnie, krytycznie. Wszechwiedząca plotka twierdzi, że był rozczarowany: „Toż to jest owa piękność, którąście mi tak zachwalali?” – miał się – wedle relacji pani de Motteville – odezwać do ambasadora. Zdaje się, że po prostu miał atak podagry.

Przybycie Marii Ludwiki i jej *fracymera*⁴⁴ jest pierwszą inwazją wpływów francuskich do Polski, trudno bowiem liczyć krótkotrwały pobyt Henryka Walezego i jego *minionów*⁴⁵. Ów mógł zostawić jedynie uprzedzenia i niechęci, które nie ułatwiły roli tej pierwszej naszej królowej z ramienia Francji. Obecność jej zaznaczyła się podwójną rewolucją: w dziedzinie finansów i w dziedzinie mody. Przez sporo lat złoto francuskie miało płynąć dość szeroką strugą do Polski; i trzeba przyznać, że, czy to przez brak zręczności dyplomatycznej, czy przez złą koniunkturę, *ekspens*⁴⁶ ten był dla Francji bodajże stracony, bo nic z wielkich zamysłów politycznych na Polskę nie udało się Francji przeprowadzić. Zresztą złoto owo płynęło prawie wyłącznie do kieszeni magnatów, których opłacanie miało wejść w stały zwyczaj, jednych za to, że pomagali, drugich, aby przestali szkodzić, innych za neutralność. Zaczęło się to jeszcze przed przybyciem królowej do Polski. „Panu Kazanowskiemu – donosi poseł de Brégy Marii Ludwice – który się tu bardzo źle WKMości przysłużył, wyliczyłem gotówką z polecenia kardynała 4000 talarów, żeby milczał; lecz wstrzymując się z ofiarowaniem mu stałej pensji, bo wiem, co to za ptaszek!” Nie wiem, czy ptaszek Kazanowski – osobisty przyjaciel króla, jeden z najbogatszych ludzi w kraju – dostał stałą pensję; ale inne ptaszki dostały; najświetniejsze nazwiska rodowe i historyczne znalazłyby się w tej ptaszarni. Ale to dopiero później.

Nie była zresztą Polska w tej mierze wyjątkiem; pół Europy, z koronowanymi głowami na czele, miało być na pensji francuskiej. Część tego złota wracała co prawda do Francji w zamian za przedmioty zbytku i elegancji, w zamian za kiecki i suknie, coraz droższe, mimo że materii wychodziło na nie coraz mniej.

Bo przewrotem w dziedzinie mody było zwłaszcza obnażenie gorsu i szyi u kobiet. Było to nowatorstwo w Polsce niesłychane, które na „modnochodne panie” sprowadziło grad pocisków satyrycznych i moralizatorskich. Nawet mniej surowy skądinąd autor *Ogrodu fraszek*⁴⁷ gorszy się

⁴⁴ *fracymer* (z niem.) – poczet kobiet, dwór żeński towarzyszący królowej. [przypis edytorski]

⁴⁵ *minion* (z fr. *mignon*) – faworyt królewski, kochanek. [przypis edytorski]

⁴⁶ *ekspens* – wydatek. [przypis edytorski]

⁴⁷ *autor Ogrodu fraszek* – Wacław Potocki. [przypis edytorski]

„gdy na ponętę żądz, wdowy i mężatki
ukazują i piersi i nagie łopatki”...

A inny rymotwórca wzywa gromu niebios na kobiety, które obnażają piersi, woła siarki i smoły na elegantki, co „na wdzięcznej twarzy sprośne muchy lepią”, i widzi w tym palec boży, że w Haczowie pod Krosnem, podczas procesji Bożego Ciała, piorun uderzył w modny kornet⁴⁸ szlachcianki.

Piorun piorunem, ale to pewna, że uprzedzenia masy szlacheckiej do wszystkiego co francuskie i z Francji odegrały niemałą rolę w późniejszych rozgrywkach politycznych i kto wie, czy owe nagie piersi i plecy nie były tu największym kamieniem obrazy. Bo, o ile wpływy francuskie zwyciężyły w magnaterii, o ile działały na wyobraźnię szlachcianek w ich skromnych dworach, o tyle nigdy nie zdołały pokonać oporu braci szlachty.

Pożycie Władysława i Marii Ludwiki było chłodne, i fizycznie, i duchowo. Król, postarzały, nawykły do łatwych miłostek, bez entuzjazmu dopełnia małżeńskiej powinności, budząc zgoła przez dłuższy czas poważny niepokój, czy jej dopełnić raczy. Jak żywy udział brał senat Rzeczypospolitej w tych obawach, niech wskaże to pismo wojewody poznańskiego, Krzysztofa Opalińskiego, do ambasadora francuskiego, pana de Brégy:

Wierność, z którą pragnę służyć mojej królowej, zniewala mnie do udzielenia jej podwójnego ostrzeżenia, które zechcesz W. M. Pan jej zakomunikować, nie wyrażając, iż pochodzi ode mnie. A najpierw, żeby nie była tak nieśmiała względem króla i wchodziła rezolutnie do jego pokoju, jak to królowa nieboszczka zwykła była czynić, bez żadnego natręctwa z jej strony; Król Jegomość bowiem bierze przeciwne zachowanie się za dowód niedostatecznego dlań afektu Jej Kr. Mości. Prócz tego, należy jej być cokolwiek śmiałą w pieszczaniu go i udzielaniu mu miłosnych satysfakcyj, *come si dice italiano: gli scherzi amorosi*⁴⁹, ponieważ król nasz miłościwy jest cokolwiek lubieżnym w tej materii miłosnej, co Waszmość Pan zrozumiesz dobrze, aczkolwiek nie umiem użyć należytych do wytłumaczenia się terminów, lepiej się znając na praktyce w tych rzeczach niż na rozprawianiu o nich.

Więcej przedsiębiorczości okazuje król wobec fraucymeru żony. Ale dla sprytnych Francuzeczek zaloty jego nie są groźne; linia ich osobistej polityki wytyczona jest wyraźnie; wszystkie te niebogatę przeważnie panny powychodzą w Polsce świetnie za mąż. „Nie rozumiem” – odpowiada stale panna de Mailly na jego umizgi królowi. „Za to dobrze rozumiesz to, co szepce pan Krasieński” – odpowiada król. „Pan Krasieński jest osobą prywatną jak ja; aby rozumieć mowę króla, trzeba być królową. Jeżeli WKMość pozwoli, to zapytam królowej, co znaczy to, co mi WKMość mówi?” „O, hultajko! – mruczy król – widzę, żeś ty szpakami karmiona”... Oto próbka tonu, jaki wnosi na polski dwór ta młoda armia królowej, wierna i karna jak korpuz janczarów.

Ale te wszystkie amory królewskie, to tylko od niechcenia, z nałogu; naprawdę król myśli o wojnie; to jedno go zajmuje i podnieca. Naród, senat, nie chcą słyszeć o wojnie z Turkami; ale król bezsilny, gdy chodziło o reformy wewnętrzne, zawsze miał w Polsce sposób, aby wywołać wojnę. Tu Władysław zamierza za pomocą partyzantki Kozaków sprowokować Turka, aby wojnie zaczepnej dać pozór wojny obronnej; ale niebacznie rzucona iskra na prochy kozackie spowoduje straszliwy pożar. Polityką król kieruje sam, żonie nie daje się mieszać do swoich spraw, odsyła ją do garnków. A Maria Ludwika, przewidując rychłe wdowieństwo, myśli o swojej przyszłości, o zabezpieczeniu ogromnego posagu, który zaangażowała w Polskę; nie czuje się jeszcze solidarna z krajem, w który los ją rzucił,

⁴⁸ *kornet* (z fr. *cornette*: rożek) – wysoki czepiec z dwoma rogami, pod którymi chowano skręcone włosy, i rozpiętym między nimi welonem; zazwyczaj wykonany z koronek, aksamitu, jedwabiu; efektowna ozdoba głowy kobiet, ostro krytykowana przez kościół ze względu na rogaty, tj. „diabli” kształt. [przypis edytorski]

⁴⁹ *come si dice italiano: gli scherzi amorosi* (wł.) – jak to się mówi po włosku: igraszki miłosne. [przypis edytorski]

a z którego lada przeziębienie króla może ją wypędzić. Żona Władysława IV nie jest jeszcze ową późniejszą towarzyszką doli i niedoli Jana Kazimierza, kobietą niepożytej energii, walczącą, błądzącą nieraz, ale – po królewsku.

Jedyny syn Władysława IV umiera dn. 9 sierpnia 1647 r.; dn. 20 maja 1648 r. – w pełni wojny kozackiej – umiera sam król. Kandydatami do korony – dwaj bracia królewscy; jeden biskup, a drugi kardynał. Królem zostanie ten, który zaślubi wdowę po bracie, na czym Rzeczpospolita zaoszczędzi sobie „odprawę” królowej-wdowy. Daje to zarazem widoki nowej elekcji, bo można przypuszczać, że nowa para będzie bezpotomna. A elekcja była wielkim świętem szlachty, licytacją o jej łaskę i głosy, potwierdzeniem jej potęgi.

Tak więc decyzja o tym, kto zasiądzie na tronie polskim – jest w ręku Marii Ludwiki i w jej już dobrze zasobnej szkatule. Wybierze Jana Kazimierza, którego usposobienie, wedle powszechnej opinii, niestałe, skłonne do rozrywek, niechętnie dla poważnych spraw, wróży jej przemożny wpływ na rządy.

Zarazem wychodząc za Jana Kazimierza, Maria Ludwika poddała swoją umowę ślubną zatwierdzeniu króla Francji, wyjednując sobie „zapewnienie wszelkich praw przysługujących Francuzom, prawdziwym krajowcom i poddanym króla arcy-chrześcijańskiego bez żadnej ekscepcji i wyjątku”.

O pierwszych latach młodziutkiej jej dworki, panny d'Arquien, w Polsce nie wiemy nic, chyba to, że gdy w r. 1654 odtaińczono na dworze balet królewski, wystąpiła jako żniwiarka. Zapewne nie ten jeden raz. Władysław był wielkim miłośnikiem muzyki i teatru. Opera jego była sławna w Europie. Balety, feerie, maszyny do spuszczenia i podnoszenia bogów, okręty, wozy, zwierzęta mechanicznie poruszane... Za Jana Kazimierza, budżet teatralny kurczy się nieco; Włosi po trochu wyciekają z Polski, ale świetne tradycje teatru trwają jakiś czas jeszcze – póki nie przepędzą ich Szwedzi...

Bo już niedługo jest chwila, że cały ten młody dwór za przewodem królowej, niby kurczęta za przewodem kokoszy, pierzchnie ze stolicy. Kiedy królowa wróciła ze Śląska w lipcu 1656 r. do odzyskanej na Szwedach Warszawy, miała ze sobą trzy panny: Potocką, Radziwiłłównę i swoją ulubioną Marię Kazimierę. Panna d'Arquien, jeżeli przyjąć chronologię królewicza Jakuba, liczyła wówczas lat ledwo piętnaście: wcześniej rozwinięta, piękna, głośna z urody i bystrego dowcipu. Znamy jej późniejsze portrety: ściągłą twarz o drobnych ustach, śliczne oczy wycięte w migdał, gęste pukle ciemnych włosów, szczupła, ale zręczna figurka, która później nawet w Paryżu miała się wydać *pas tant chienne*⁵⁰... – jak sama donosi z tryumfem.

Pierwszy z istniejących portretów ukazuje Marysieńkę jako – świętą Magdalенę: siedzi na leśnej murawie, z główką wspartą na obnażonej ręce, odziana lekką błękitną draperią, a bardziej splotami pysznych, włosów. Ował twarzy niemal dziecienny, oczy ciemnopiwe, które „nie wiedzą, czy śmiać się, czy dąsać mają”. Święta Magdalena! Jak się dziwić Sobieskiemu, że głowę stracił? Na takie diabelskie miszkulancje, na tę chytrość, która zachowuje wszystkie pokusy grzechu, pozwalając równocześnie modlić się do siebie jak do świętej, ani roztropne instrukcje ojcowskie, ani spartańskie przykazania matczyne nie zawierały żadnego sposobu.

A charakter?

Przechował się w bibliotece Raczyńskich zapisek (z r. 1657) mniszki z klasztoru sióstr benedyktynek w okolicy Poznania, gdzie panna d'Arquien jako dworka królowej miała kwaterę. Było to w czasie wojny szwedzkiej. Z narażeniem zdrowia ustąpiła jej ksieni własnej najlepszej celi. Ale zachowanie się młodej panny nie było budujące:

Przyjechała panna d'Arquien przed samym adwentem do klasztoru naszego. Panna to była najzacniejsza z fraucymeru królewskiego, której wielebna panna ksieni ustąpiła izdebki swojej z wielkim niewczasem swoim i aż w chorobę była wpadła, za czym królestwo słało do niej doktora swego. Było to bycie panny tej poniekąd z

⁵⁰ *pas tant chienne* (fr.) – dosł. nie tak „psia”, tj. niebrzydka. [przypis edytorski]

niezbudowaniem inszych. W nocy trzeba było doktora puszczać do niej. Senatorów wiele ją nawiedzało i częstym chodzeniem bardzo się uprzykrzali i przez kościół chcieli do niej; nie było pokoju przed nimi. A że łaźni często używała, a że wody w klasztorze nie było, musieli z miasta nosić. Miała swoje sługi i ochmistrzynią, stół jej był z królewskiej kuchni...

Surowy biograf Marysieńki, Waliszewski, widzi w tej notatce całkowitą jej charakterystykę. Egoistka, światowa, niewiele troszcząca się o pozory, zajęta sobą, nieznosząca sprzeciwu, umiejąca łamać przeszkody; oschłość serca, która pozwala iść prosto do celu, odsuwając niebezpieczeństwo wahań i kompromisów.

Stanowczo, zdolny historyk dużo potrafi znaleźć w jednej wannie.

Pośpieszmy dodać, że portret świętej Magdaleny, który wspomniałem wyżej, pokazuje Marysieńkę już o kilka lat starszą, jako młodą panią Zamoyską. Pannie d'Arquien może by nie przystało dać się malować takim kształtem. Bo oto zbliża się pora, gdy przybrana matka – królowa Maria Ludwika – ma postanowić o jej losie. Dotąd nie chciała jej puścić od siebie, mimo że starali się o jej rękę Krasiński, Pac... A Sobieski? – O Sobieskim osobno, to dłuższe dzieje.

Osobliwy to dwór, ten dwór Marii Ludwiki. Pani pobożna, namiętna polityczka, podobno surowa dla swoich dworek, co nie przeszkadza, że samo zjawienie się nowego obyczaju, owej mowy francuskiej, w której – jak powiada Brantôme – słowa miłosne „barziej są w uściech chutliwe, cudniey dźwięczące a sielniey szpik wzruszające niżeli ine”, musiało na tym świeżym gruncie polskiego temperamentu wydać bujne owoce. Panny francuskie nadają ton: kontuszowa młodzież kocha się w nich na zabój. Amor – częściej zwany przez poetę *Kupido* – obiera sobie kwatery w Warszawie. Wywiódł to zmyślnie pan Andrzej Morsztyn, poeta i dworak, ulubieniec Marii Ludwiki, w naśladowanym z Apulejusza i Marina poemaciku *Psyche*, pisany zwinną oktawą. Szukając syna swego, Amora, Wenus przebiega różne kraje. U Włochów znajduje plugawy nierząd; w Niemczech miłość jedynie zimną, jakoby umarłą; bieży z kolei do Francji, ale okazuje się, iż z Francji Amor pociągnął z królową polską do Warszawy – nad Wisłę. Śpieszy tam Wenus, ale ujrawszy królowę, ten cud, nie ma już siły gniewać się na syna. Tutaj łatwo się domyślić, że poeta-dworak poświęca niejedną oktawę na oddanie hołdu królowej... „Lecz dosyć o niej” – powiada:

... teraz oszak biały,
Jej nimf uważaj; przyznasz to bez sporu,
Że taka pani godna tego dworu.

I zaczyna się seria lichych *conchetti*⁵¹, którymi poeta zaostrza swoje oktawy, poświęcone kolejno każdej z panien. *Mlle Bessaine* (później wojewodzina Denhoffowa) „popęta serca *bez sen* i na jawie”. Dla panny *Cordon*, później swojej żony, znajduje Morsztyn taką aluzję: „to są jej pęta i trwałe *Cordony*”. Dla panny *Mailly*, potem kanclerzyny Pacowej: „tak do niej bieżą i wielcy i *mal!*” (au! au!) *Arka* stanowi aluzję do panny *d'Arquien*. Ale przytoczmy próbkę strof poświęconych przyszłej *Marysieńce*:

Ta pierwsza twarzą, choć ostatnia laty,
Zrodzona między grzecznymi Francuzi,
Wolna jest spalić w popiół oba światy.
Od wschodu słońca aż gdzie się zanurzy...
W kupę się zeszły w tym anielskim cielem,
Dowcip i rozum nie mniej pewnie święty,

⁵¹ *conchetti* (wł.) – pomysły; koncepty. [przypis edytorski]

Zgoła z niebiańskiej poszła parantele⁵²,
Bo wszystkich bogów jest w niej skarb zamknięty;
Stąd wotem serca niosą jej w podarki,
Jak do kościoła i jako do Arki...

Nie są to z pewnością najlepsze strofy, jakie wyszły spod pióra Morsztyna, ot, poezja dworska; chce być pochlebnym, przyzwoitym. Ale w innych wierszykach, które krążyły w odpisach po pałacach i alkowach, znajdzie Morsztyn własny ton, będący swoistym wyrazem tej nowej, z francuska nieco przybranej, ale bardzo polskiej muzy, jaka się rodzi w okolicach warszawskiego dworu. Poezja jego, przymilna, figlarna i zmysłowa, przedsiębiorcza i śmiała w potrzebie („Bo co zakrywa pierzynka – to dla samego Morsztynka”), wznosząc się do rzadkiego naówczas kunsztu formy, niejedną musiała zawrócić główkę. Pochwała jego: „cieniutkaś jak łątka” (z czym rymowały „nadobne drażniątka”!) musiała sprawić małą rewolucję i spowodować pierwsze w Polsce odchudzania się Kachen i Marynek. A co powiedzieć o takiej litanii białości, wyprzedzającej o dwa wieki słynną *Symphonie en blanc majeur* Teofila Gautier; gdzie, wyszczególniwszy wszystkie rodzaje białości, poeta nasz konkluduje dwornie:

Ale bielsza mej panny płeć twarzy i szyje,
I Nad marmur, mleko, łabędź, perłę, śnieg, lilije!

Tak w Polsce nie umiano przed Morsztynem mówić do kobiet. Tędy przeszła już *précieuse*⁵³, wychowanka hôtel Rambouillet. Morsztyna zawdzięczamy Marii Ludwice, przynajmniej w jego dystygowanej postaci. Bo nie daj Bóg, aby do białogłowskich rąk miały się dostać jego fraszki, często nieskromne tak, że dziś jeszcze muszą wydawcy kropkować w nich całe ustępy, ale znowuż nieskromne inaczej niż zwykłe facecje Sarmatów; owe fraszki, o których on sam mówi, że „niech one śmieje, choćbym miał być w winie – rzą jak dryganci⁵⁴, niech kwiczą jak świnię”.

Nie tylko do fraszek jest pan Andrzej zdalny. Toż jego przekładania będzie Kornelowa heroiczna komedia o Roderiku Cydzie⁵⁵, która już po potopie szwedzkim ukaże się na theatrum królewskim na zamku w r. 1662. I gdy, w myśl obrazu, jaki nam sugeruje późniejszy prolog Wyspiańskiego, król poglądał dokoła na tworzących publiczność rycerzy, którymi

świat by cały zadziwił:
mało gdzie takich żołnierzy. Byli nimi:
Pan Lubomirski Jerzy,
Pan Sobieski chorąży,
Pan Bogusław Radziwiłł...

można by się założyć, że gdzieś na sali w loży („są tam okna, gdzie osoby siedzą” – pisze o tej nowości współczesny Jarzębski) siedziała wygorsowana po pas i strzygąca dyskretnie okiem w stronę *monsieur le Koronge* Marysieńka – już pani wojewodzina Zamoyska. Ale nie uprzedzajmy wypadków; same z siebie popędzą aż nazbyt szybko.

⁵² *parantela* – powinowactwo; tu: daw. forma D.lp: parantele. [przypis edytorski]

⁵³ *précieuse* (fr.) – tu: wykwintnisia; kobieta afektowana, wyszukana w mowie, stroju itp. [przypis edytorski]

⁵⁴ *drygant* – ogier. [przypis edytorski]

⁵⁵ *Kornelowa heroiczna komedia o Roderiku Cydzie* – sztuka sceniczna *Cyd Pierre'a Corneille'a* z 1637 r. [przypis edytorski]

IV. Potop i arka

Widzieliśmy, jak pan Andrzej Morsztyn, robiąc aluzję do nazwiska d'Arquien, porównał przyszlą panią Janową Sobieską do arki. I oto zjawia się – potop. Poeci mają szczęście. Chętnie bym, wyręczając Morsztyna, spłodził jakąś strofę, kojarzącą potop z arką. Ale jak? Że, na falach potopu, wypływa ta, która kiedyś będzie polską królową, arką przymierza... Czy w takim razie Sobieski byłby Noem? Dla panegirzystów barokowych nie ma niemożliwości. Ale przyznajmy, że to by było trochę naciągane. Bo, w całym tym potopowym epizodzie Sobieskiego brak po temu elementów. Ani w jego odstępstwie, ani w jego nawróceniu nie widzimy śladów kobiety. Nie na tej arce wypłynął ten Noe. Przynajmniej na razie.

Może arką na falach potopu byłaby raczej Maria Ludwika? To fakt, że wśród powszechnego zalewu, ona jedna trzymała w ręku ster duchowy: gdyby nie królowa, wątpliwe jest, czy Jan Kazimierz zdobyłby się na taką siłę odporu, czy zdołałby skupić wszystko, co było zdatne do obrony. Maria Ludwika odegrała tu jak gdyby rolę Joanny d'Arc. **D'Arc!** – no więc nareszcie dopłynęliśmy do jakiejś arki. Honor panegirzysty ocalony.

A potop? Ten wszyscy znają. Nie będę streszczał w jednym felietonie tego, co genialnym piórem opisał Sienkiewicz na przestrzeni wielu tomów. Powiem chyba o tym, o czym Sienkiewicz nie powiedział, o roli Sobieskiego w owych wypadkach.

Sienkiewicz o nim nie wspominał i nie miał obowiązku wspomnieć. Młody Sobieski nie był jeszcze wówczas figurą historyczną. Ani powieściową. Chyba żeby w jego sytuacji dopatrzeć się istotnie czegoś z dziejów zbłąkania i nawrócenia się Kmicica.

Widzieliśmy w r. 1655 Sobieskiego w Warszawie na dworze królewskim, kiedy pierwszy raz ujrzał tę, której w liście swoim w r. 1665 powie, że ją kochał „dziesięć lat z nieporównaną z niskim⁵⁶ passją”. A i jej serce – jeżeli wierzyć romansowi biograficznemu Bousseau de la Valette (*Casimir, roi de Pologne*⁵⁷, 1679) – „potajemnie wzdychało do Jana Sobieskiego, który je pierwszy dotknąć potrafił”. Ale rychło po poznaniu nastąpiło rozstanie – i więcej niż rozstanie. W lipcu r. 1655 wkraczają do Polski Szwedzi; większość kraju poddaje się im bez oporu, król i królowa z fraucymerem chronią się do Głogowa na Śląsku, podczas gdy Sobieski znajduje się niebawem w obozie Szwedów, jako ich pilny adherent. Wytrwa tam prawie aż do marca następnego roku, po czym wróci na stronę prawowitego króla; ale i odstępstwo jego, i powrót nie mają nic romantycznego.

Udział Sobieskiego w tych wypadkach rozplątał się w blasku późniejszych jego czynów; ujawniony z czasem przez bezsporne dokumenty, stanowił dość kłopotliwy punkt dla naszych historyków w epoce drażliwej na „szarganie świętości”. Nawet sławna z surowego osądu naszej przeszłości „szkoła krakowska”⁵⁸ wołała tego punktu nie tykać. Potraktowany z męską prawdomównością przez Korzona, udział Sobieskiego w najeździe szwedzkim stał się od czasu *Doli i niedoli Jana Sobieskiego* (1898) stwierdzonym faktem; niemniej do dziś spotyka się próby łagodzenia prawdy, usprawiedliwiania jej służbą wojskową Sobieskiego, obowiązkiem subordynacji. Teza nie do utrzymania, wobec tego, iż, wręcz przeciwnie, wbrew subordynacji i wbrew własnemu hetmanowi, młody Sobieski odegrał czynną rolę w zbuntowaniu części wojska i przeciągnięciu jej na stronę szwedzką. Ale znowuż strzeżmy się patrzeć na to dzisiejszymi oczami: dla współczesnych, światła i cienie tego obrazu nie odcinały się tak ostro. Chciejmy wierzyć, że odstępcy nie zdradzali ojczyzny, zmieniali tylko króla, w swoim pojęciu na lepszego; król elekcyjny był królem „za

⁵⁶ *niskim* (daw.) – ni z kim; z nikim. [przypis edytorski]

⁵⁷ *Casimir, roi de Pologne* (fr.) – Kazimierz, król Polski. [przypis edytorski]

⁵⁸ „szkoła krakowska” – grupa konserwatywnych historyków, krytycznych wobec przeszłości Polski, potępiających powstania i szkodliwą dla państwowości „złotą wolność” szlachty Rzeczypospolitej, działających w drugiej połowie XIX w. w Krakowie; najbardziej znane postacie działające w tej grupie to Szujski i Kalinka. [przypis edytorski]

wypowiedzeniem”: niedotrzymanie paktów konwentów – a cóż tu za pole dla kazuistyki! – mogło zwalniać od posłuszeństwa. Samo opuszczenie przez króla granic Polski mogło służyć za argument. Idea unii personalnej między koroną polską a szwedzką była reprezentowana przez samego Jana Kazimierza, który wytrwale pisał się królem szwedzkim. Wreszcie u źródeł najazdu szwedzkiego stała się owa fatalna sprawa Radziejowskiego, która wcale nie była czysta. Słusznie czy nie, Jan Kazimierz uchodził za kochanka podkanclerzyny Radziejowskiej (z pierwszego męża Kazanowskiej), dla której pięknych oczu najpierw Radziejowskiego nad wartość wywyższył, a potem stracił, skazując dygnitarza korony na infamię z pogwałceniem legalności, osobiście – wbrew sądom – ingerując w tej sprawie. Co najmniej pół Rzeczypospolitej uważało wyrok na Radziejowskiego za akt przemocy królewskiej, za pogwałcenie świętych praw szlacheckich; Radziejowski raz po raz słał do braci szlachty pisma, upominając się o swoją krzywdę. „Do ciebie się zwracam, Najdroższa Ojczyzno! – pisał bezczelny Radziejowski w swoim manifeście. – Strzeż wolności we mnie uciśnionej i ukarż gwałtociela. Obudź się z letargu, odrzuć prywatne względy, będzie to bowiem znakiem starości i upadku, gdy w rządach nad Tobą więcej kara niż słuszność znaczyć będzie”. A Sobieskiego ten wyrok infamii musiał dotknąć bardziej niż kogo innego, bo przecież Radziejowski był jego ciotecznym bratem, urodzonym z Sobieskiej.

Relacja o udziale Sobieskiego w buntowaniu wojska znajduje się w raporcie Żytkiewicza, instygatora koronnego, do Jana Kazimierza z dn. 15 października 1655. Duszą akcesu do Szwedów był chorąży koronny Koniecpolski (ten, który okrucieństwem swoim wiele przyczynił się do zaognienia sprawy kozackiej, a potem pod Piławcami jeden z pierwszych drapnął); z nim ręką w rękę działali Sapieha, Dymitr Wiśniowiecki, Sobieski. Pozór – ucieczka króla za granicę; warunki poddania się królowi szwedzkiemu – wolność religii, wolność szlachecka, konfiskata na rzecz wojska dóbr tych, co opuścili kraj; amnestia dla tych, co wytrwali w szeregach wojsk królewskich. Z tym słał poselstwo do Karola Gustawa. Potem pan Koniecpolski z adherentami odłącza się od hetmanów i staje w Staromieściu pod Rzeszowem. Musieli się czuć trochę nieswojo, bo powiada Żytkiewicz, że pan Koniecpolski „pił, choć tego nie zwykł czynić w sobotę. Tamże popiwszy się, tańcowali sami z sobą”. (Cóż za obraz! – brakuje tylko muzyki Chochoła!). Objaśniając pobudki zdrady, wymienia Żytkiewicz niechęć do króla, niedostatek w niepłaconym (jak zawsze!) wojsku, zgrzybiałość hetmana; u Koniecpolskiego gra rolę interes osobisty, ile że ma przyrzczone hetmaństwo; Sobieskiego i Wiśniowieckiego unosi *iuventus et inipetus*⁵⁹.

Gdybyż się choć nie dał fotografować! – ubolewa Historia. – Bo Sobieski figuruje na sztychu w bardzo rozpowszechnionej *Historii Karola Gustawa* Puffendorfa, jak z podniesionymi w górę palcami składa w ręce gen. Wittemberga przysięgę poddańczą. Groźniejsze jeszcze rzeczy sugeruje nam współczesny *Pamiętnik towarzysza chorągwi pancерnej* (wydał Żegota Pauli), który pisze, że „niektórzy imć pp. pułkownicy, a zwłaszcza książę Dymitr, p. Jan Sobieski starosta jaworowski, Krzysztof Sapieha pisarz polny, p. Zbrożek, p. Korycki, p. Kaliński, – ci wszyscy z pułkami swymi najpierw bez rady hetmańskiej poddali się królowi szwedzkiemu; w Krakowie, pod Częstochową byli (acz nie wszyscy); w Prusiech na księcia brandenburskiego Szwedowi pomogli; na nasze wojsko potem wojowali”...

„Acz nie wszyscy”... To znaczy, że niektórzy wcześniej się opamiętali i wrócili do prawego pana. Ale o Sobieskim wiemy, że był jednym z najwytrwalszych w zbłąkaniu, że opuścił obóz szwedzki aż pod koniec lutego 1656. Przyznajmy, że Sobieski... oblegający Częstochowę, to by przelicytowało najśmielsze fotomontaże historyczne primaaprilisowego numeru *Wiadomości Literackich*. Chcę wierzyć, iż los oszczędził naszemu bohaterowi tej próby i że przydział jego pułku był inny.

Tyle jest pewne, że ani konfederacja tyszowiecka, ani obrona Jasnej Góry nie odciągnęły go od najeźdźcy. Dopiero kiedy szansa Szwedów zdecydowanie się pogorszyła, Sobieski, wciąż za

⁵⁹ *iuventus et inipetus* (łac.) – młodość i zapał. [przypis edytorski]

Konieczpolskim, porzuca ich sztandary. Pod datą 24 lutego 1656 r. donosi w korespondencji swojej sekretarz Marii Ludwiki, des Noyers, że pan Konieczpolski wraz z 9000 swoich ludzi opuścił Karola Gustawa i połączył się z panem Czarnieckim, pałając żądzą bicia Szwedów; dn. 27 lutego dwór dostaje wiadomość, że Sapieha, Korycki i Sobieski połączyli się z armią polską. Pod komendą Jerzego Lubomirskiego, Sobieski bije Szwedów ich własną bronią. Bo na pociechę powiadają nam historycy, że w obozie szwedzkim Sobieski dużo skorzystał; była to dla niego znakomita praktyka, wodzowie byli tędzy, dyscyplina nienaganna, wojsko pierwszorzędne pod względem technicznym. Sobieski, urodzony kawalerzysta, nauczył się tam operować piechotą i artylerią. *Je prends mon bien ou je le trouve*⁶⁰ – mógłby ten rycerz powiedzieć wyprzedzając Moliere.

Jeżeli gdzie, to w polityce większa jest radość z jednego nawróconego grzesznika niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych. Toteż nie minęły grzeszników nagrody. Jan Kazimierz nie czuł się dość silny ani dość zawzięty, aby karać tych, co go odstąpili. Byłby musiał zresztą ukarać pół kraju. Wszyscy mieli z czasem wrócić do łask i godności, nawet zrehabilitowany w r. 1662 Radziejowski, nawet nie lepszy od niego Bogusław Radziwiłł... Cóż dopiero ci, którzy z bronią w ręku wrócili w szeregi królewskie. Przy pierwszym wakansie chorąży Konieczpolski został wojewodą sandomierskim, a na jego miejsce, 26 maja 1656 r. – a więc niespełna w trzy miesiące po nawróceniu – król mianuje Sobieskiego wielkim chorążym koronnym. „Urodzony wiernie nam miły, Zasługom Wierności Twojej wdzięczność oświadczając...” – tymi słowami rozpoczyna się dekret nominacji, gdzie, na przestrzeni kilkunastu wierszy, pięć razy powtarza się zwrot: „Wierność Twoja”. Czyżby kancelaria królewska miała poczucie ironii? Wątpię. Po prostu załatwiono „kawalek” według utartej formuły.

A równocześnie Karol Gustaw każe nazwisko Sobieskiego, wraz z innymi odstępcami, przybić na szubienicy. Nie można zadowolić wszystkich.

I wciąż trzeba się strzec, aby nie brać tych rzeczy dzisiejszymi pojęciami. Bo nie upłynie kilka lat, jak ta sama Maria Ludwika będzie planowała sprowadzenie Szwedów na Polskę, aby – w tajnym porozumieniu z Francją – za pomocą ich rapierów wprowadzić swego kandydata na tron polski. A po śmierci chronicznego zdrajcy, Bogusława Radziwiłła, Sobieski – wówczas wielki hetman koronny – wystosuje do swego szwagra Radziwiłła pismo kondolencyjne, w którym będzie tę śmierć opłakiwał „jako nieszczęśliwość, której jako żałuję, wypowiedzieć niepodobna”...

W ciągu owego roku 1656 szanse Jana Kazimierza poprawiają się z wolna. Odzyskano Warszawę wraz z zamkiem, doszczętnie ogołoconym przez Szwedów. Posadzki nawet wyrwali i wywieźli. Konie trzymali na trzecim piętrze – żeby zapaskudzić. To dobry znak: widać nie wierzyli, aby się tam mieli osiedzieć. „Ale też to była straszna rozprawa – pisze królowa Maria Ludwika w liście do przyjaciółki, pani de Choisy, dn. 27 czerwca, jeszcze z Głogowa. – To go (Wittemberga) najbardziej boli, że go ciury zwyciężyli. Albowiem, gdy się ta hałastra nastęczyła, król J. M., który miał niewiele piechoty i rad był ją oszczędzić, przyjął chętnie tych ochotników. Ochotnicy z panią nie narażają się tu jak we Francji” – dodaje królowa, jakby popierając tezę dzisiejszych historyków, podkreślających przemożny udział „chama” w zwycięstwach, których chluba przypadała samej szlachcie. To samo notuje i cytowany powyżej „towarzysz pancerny”: „Generalny szturm uczyniwszy, samymi prawie ciurami wzięli Warszawę”.

Królowa pisała ów list jeszcze z Głogowa. Ale już w połowie lipca opuszcza Śląsk i przybywa do Warszawy, a towarzyszą jej trzy panny dworskie: Potocka, Radziwiłłówna i ulubiona Maria Kazimiera d'Arquien. Czy ta Oleńka spotkała się wówczas ze swoim Kmicicem – dzieje milczą. Ale tuż pod Warszawą miała się jeszcze raz stoczyć krwawa bitwa – z końcem lipca 1656 r. – z samym królem szwedzkim na czele. Maria Ludwika jest obecna na polu bitwy; z własnej karety każe konie wyprząc, aby nimi zatoczył armatę; osobiście czuwa nad strzelaniem. Potem w południe, siadłszy na bębnie nakrytym kozuszką tatarską, je obiad, patrząc wciąż na walkę, która skończyła się aż o

⁶⁰ *Je prends mon bien ou je le trouve* (fr.) – przen.: korzystam z każdej okazji. [przypis edytorski]

jedenastej wieczór. To był styl francuski w najlepszym gatunku, styl zainaugurowany przez *Grande Mademoiselle* w czasie Frondy. Ów dzień to był dzień symboliczny; od tej chwili ster państwa, za cichą zgodą króla, przechodzi w ręce królowej.

Ale bitwa pod Warszawą była, mimo wszystko, przegrana. Oboje królestwo opuszczają Warszawę, aby się schronić u wielkiego marszałka koronnego, Jerzego Lubomirskiego, w Łańcucie. Podczas całej tej szwedzkiej zawieruchy, Jerzy Lubomirski jest mężem opatrnościowym króla, najwierniejszym z wiernych, „ojcem ojczyzny” – jak go nazwie fama. On nie zachwiał się ani na chwilę, on wprowadził wygnańca Jana Kazimierza do Polski, on dał mężny odpór wrogowi i przykład odstępcom.

I drugi – Jan Zamoyski, wnuk wielkiego Jana, mniejszy od Lubomirskiego zasługami i rangą, ale silny posiadaniem jednej z najważniejszych twierdz w Polsce – Zamościa. To ów uwieczniony w *Potopie* przez Sienkiewicza „Sobiepan” Zamoyski, którego Zamość oddał takie usługi w czasie wojny kozackiej i który z za jego obronnych murów dał tak jowialną odprawę królowi szwedzkiemu. Bo ów koncept z ubitą „świnia w rynku” jest autentyczny; cytują go zgodnie relacje współczesne. I któż by mógł przeczuć wówczas, że wydawszy swoją ulubienicę za tegoż Zamoyskiego, który okaże się politycznym nieużytkiem, królowa Maria Ludwika uczyni z pani Zamoyskiej wędkę na tego tak dziś niewyraźnego Sobieskiego, aby za jego pomocą pognebić i zgubić dzisiejszego „ojca ojczyzny”! Niebawem rozpocznie się ten pasjonujący rozdział, w którym miłość, intryga i polityka splecą się z sobą, decydując o losach i o przyszłości naszego bohatera.

Bo, jeżeli od przybycia do Polski Maria Ludwika czuła potrzebę stworzenia sobie partii i umocnienia jej parantelami swoich dworów, o tyle teraz, gdy poznała kruchość korony polskiej, tym bardziej chce zbudować stronnictwo dla przeprowadzenia swoich daleko sięgających planów. Jakich, zobaczymy niebawem.

Stopniowo nawała szwedzka odpywa; kraj oczyszcza się z najeźdźców. Bohaterem odporu staje się Czarniecki, który jest poniekąd wynalazkiem królowej: ona, rozumiejąc jego wartość, daje mu niezależną komendę, mimo niezadowolenia hetmanów. Wojna oddała się, aby się tlić w miastach pruskich i w Inflantach, zanim w r. 1660 zakończy się pokojem w Oliwie. Ale wcześniej jeszcze życie odzyskuje swoje prawa: dwór wraca do Warszawy, ludzie kochają się, żenią, nawet bawią. Wciąż patrząc na wypadki okiem polityka, królowa musiała z przyjemnością widzieć, że jej ulubienica wpadła w oko Janowi Zamoyskiemu. Pisząc do swojej przyjaciółki z wygnania w Głogowie donosi o Zamoyskim jako o młodym człowieku, który „zdaje się być zakochany w małej d'Arquien. Jeśli kiedy pokój będzie w Polsce, to będzie miał 700 000 liwów intraty i najpiękniejsze domy na świecie, ślicznie umeblowane”. A później kiedy dwór bawił w Wolborzu, sekretarz królowej des Noyers donosi swemu korespondentowi (Ismaelowi Bouillaud), że Podlodowski, dworzanin pana Zamoyskiego, przywiózł imieniem swego pana krzyż z pięciu wielkich diamentów, szacowany na 10 do 12 tysięcy franków, jako podarek dla panny d'Arquien, w której księżę Zamoyski jest bardzo zakochany. Podarek ten daje miarę i miłości i walorów wielbiciela. Zamoyski, człowiek trzydziestoletni, ale dość zużyty, nie orzeł, ale tęgi żołnierz i dobry obywatel, bardzo popularny, mający za sobą tradycję wielkiego dziada, olbrzymio bogaty i skoligacony, każący się tytułować księciem na Ostrogu i księciem na Zamościu, był człowiekiem po myśli królowej. „Zakochany jak kot” – powiadano o panu Janie, który był mocno wrażliwy na płeć piękną, choć jak dotąd niezbyt wybredny w amorach. Ale panna jest bardzo młoda, Zamoyski jest w wojsku, chwila nie jest po temu; dopiero w półtora roku później znajdziemy w listach tegoż des Noyers wzmiankę, że „Zamoyski sprowadził tu 300 beczek wina węgierskiego na swój ślub”. W istocie, ślub odbył się z początkiem marca 1658 r. „Odrzucił dla niej podobno rękę młodej i pięknej wdowy, mającej 300 000 franków rocznego dochodu i znaczną ilość gotowizny” – czytamy w tym samym, dobrze poinformowanym źródle. Trzysta beczek wina, wzgardzone trzysta tysięcy rocznego dochodu – cyfry nad wyraz poważne: „ale też za to przejdzie bez opłaty bramę kochanków szczerych, która się znajduje w pałacu Apolidora”...

W istocie, musiał Zamoyski być jak kot zakochany, gdyż, o ile się zna jego charakter i zważy jego stanowisko, nie zdaje się, aby w owej decyzji grała rolę chęć zyskania protekcji królowej. Raczej królowa zawiodła się na tym człowieku, który okazał się hulaką bez większych ambicji. Wziął swoją Francuzeczkę bez grosza, dał jej wspaniałe wiano, dwanaście tysięcy talarów rocznie na szpilki, sto tysięcy talarów w upominku i wiele obietnic na przyszłość. Po czym pił dalej.

Ślub odbył się z przepychem. W chwili zaręczyn królowa, siedząc na tronie, włożyła na głowę oblubienicy wspaniałą diamentową diadem, dar oblubieńca. W drodze do kościoła poprzedzało młodą parę stu hajduków, stu lokajów, dwudziestu czterech dojeżdźaczy, osiemnastu paziów i sześciu trębaczów. Trzysta beczek wina wypito sumiennie.

Istnieje ciekawy opis obrządku wplecionego w ceremonię zaślubin. Trzeciego dnia, który zowią dniem kąpeli panny młodej, oblubienica zaprosiła przyjaciółki swoje, aby się z nią przyszyły kąpać. Zebrawszy się wszystkie, udały się do sali przeznaczony dla kąpeli. Znajduje się tam niezmierna marmurowa wanna, do której po sześciu stopniach się schodzi. Gdy podług przyjętych obrządków rozebrano pannę młodą, kąpała się z przyjaciółkami swymi w pachnących wodach, lejących się z rur srebrnych. Gdy się narzeczona kąpie, Zamoyski kazał zanieść do innego pokoju gotownię, złotą, wysadzaną dużymi perłami, formującymi cyfry nowożeńców i więzy miłości. Zwierciadło i inne naczynia były równej piękności i ceny, lecz równać się nie mogły szlafrokowi z soboli i innym najwspanialszym sukniom...

Zadziwiające jest, jak po trzystu latach wie się wszystko! Znamy nawet szczegóły nocy poślubnej Jana Zamoyskiego, znów z listu wszechwiedzącego sekretarza królowej:

„Pierwszą noc spał na ziemi na kobiercu przy żonie i nie położył się w łóżko: tak tedy nic nie zaszło. Prawda też, że pani się uparła, a jegomość przez grzeczność położył się na ziemi obok niej”...

I czy warto się było tak kąpać, Marysieńko?...

Ale rys ten godzi się zapamiętać. Zanim Marysieńka została królową na tronie, musiała umieć być królową w swojej sypialni. Bo te dwa królowania były z sobą w ścisłym związku. Ujrzymy ją przy robocie.

Jest tedy panią Zamoyską, wojewodziną kijowską, województwo sandomierskie otrzymał pan Zamoyski aż za rok, po śmierci Konięcpolskiego. Czy to był posąg Marysieńki?

A równocześnie krążył z rąk do rąk, ku uciechu panów i szlachty, ironiczny *Paszport k....m z Zamościa*, pióra – czyjegoż by, jeśli nie pana Andrzeja Morsztyna? Co za rytm!

Zośka z Zamościa, Baśka z Turobina,
Jewka z Zwierzyńca, z Krzeszowa Maryna,
Te cztery k... y, z piątą panią starą,
Pod dobrą idą na wędrowkę wiarą.
Służyły pilnie, póki pański długi
...potrzebował ich pilnej posługi;
Teraz że z ślubną związki zwarte żoną,
Precz ich zapewne od dworu wyżoną...

Nie lekceważmy i tego wierszyka: przeszłość pana młodego zaciąży na późniejszych losach Marysieńki, Sobieskiego, omal nie Rzeczypospolitej.

*

W każdej sprawie istnieje historia i legenda. Legenda upraszcza. Może ma rację. Historia bywa pełna sprzeczności, zawiła i niepewna; legenda jest zawsze prosta i wdzięczna. Tak i w tej przygodzie. Legenda opowiada nam o Sobieskim, który ujrzał, pokochał i poprzysiągł sobie, że nigdy inna kobieta nie będzie jego żoną. Cytowany romans Rousseau de la Valette powiada o wzajemnej miłości

młodych: książkę tę posiadał później Sobieski w bibliotece swojej w Żółkwi; figuruje w katalogu. Ale to już było pisane po faktach; znowuż po trosze dorobione wstecz. I on sam, jako szczęśliwy mąż Marysienki, datuje swoją miłość od roku pierwszego ich ujrzenia się; ale czyż to nie należało do obowiązkowego stylu Celadona? Bo w takim razie – spyta ktoś – czemu Sobieski nie wystąpił jako konkurent do ręki wzajemnej mu panny? Wszakże i on był nie byle kto; mimo iż za życia matki nie władał jeszcze całą puścizną, majątek jego miał być jednym z największych w Polsce, ród nie byle jaki, warunki osobiste świetne... Czy przy wzajemności i chęci Marysienki mógłby jej nie zdobyć? Czy królowa byłaby nieubłagana, ona, która niebawem miała się przekonać, o ile Sobieski więcej jest wart – nawet dla jej planów – od Zamoyskiego! Prawda, była stara pani Sobieska: czy ona przyjąłaby za synową ubogą cudzoziemkę, pannę dworską, czy dałaby błogosławieństwo? Ale nie wydaje się – przynajmniej nie ma tego śladów – aby Sobieski w ogóle próbował pokonywać trudności. Jeżeli się mamy bawić w psychologię, moglibyśmy wnioskować, że owa miłość od pierwszego wejrzenia jest po trosze legendą, w którą on sam uwierzył, dorobił ją niejako do namiętnej miłości, jaką w nim obudziła – już pani Zamoyska; ale że wówczas kiedy poznał pannę d'Arquien, młody pędziwiatr brał rzeczy mniej poważnie niż mu się później zdawało. W całej korespondencji Sobieskiego z Marysienką, gdzie tak chętnie oddaje się wspominkom wspólnej przeszłości, nie ma ani jednego realnego wspomnienia, które by się odnosiło do owych początków. A w którymś z listów już do swojej żony wyrwie się panu hetmanowi takie wyznanie, mające bardziej przekonywający akcent prawdy niż retrospektywne zaklęcia Celadona:

Najpierw, moja panno – pisze Sobieski z obozu w Podhajcach, w r. 1667, w odpowiedzi na jakieś wydziwianie Marysienki – ja z natury mojej byłem tak łacnym do ożenienia, jako łacno złączyć wodę z ogniem. Jedną się kontentować miłością nie tydzień, ale dzień jeden było niepodobna.

Można stąd wnosić, że za młodu Celadon był po trosze dziwkarzem. Jak bardzo miał się odmienić! Ale przede wszystkim, wówczas Sobieskiego trzymała wojna i nie puszczała go; jeszcze się nie skończyła szwedzka, a już przyszła siedmiogrodzka: koniec r. 1656 i r. 1657, to lata jego wojaczki przeciw Rakoczemu. Pochłonęło go życie obozowe. Od jesieni 1658 r. bije się znowuż w Prusach Królewskich ze Szwedami; dowodzi pod Sztumem w zastępstwie Koniecpolskiego, oblega Toruń przy Lubomirskim. Ale, pewnego razu, w momencie chwilowego wytchnienia, wpada do swoich Pielaskowic odległych ledwie o kilka mil od Zamościa. Składa zwykłą sąsiedzka wizytę niedawno ożenionemu przyjacielowi Zamoyskiemu i od tego czasu między Sobieskim a młodziutką mężatką nawiązuje się niebezpieczna przyjaźń – flirt – *amitié amoureuse*⁶¹, w której wykiełkuje aż nadto owo ziarno dawniejszej sympatii, czy nie dość świadomego uczucia. I, jeżeli mamy pozostać w kategoriach Sienkiewiczowskich, nasz Kmicic ani się obejrzy, jak się znajdzie w sytuacji bohatera *Bez dogmatu*... Spozstrzeże, że przegapił swoją Anielkę, gdy ta będzie już panią Kromicką.

Sobieski w roli Płoszowskiego, Sobieski dekadentem! Ale czyż ów nasz wiek XVII nie jest po trosze wiekiem „dekadentyzmu”?

⁶¹ *amitié amoureuse* (fr.) – miłosna przyjaźń; przyjaźń z domieszką miłości. [przypis edytorski]

V. Konfitury

Byliśmy świadkami zaślubin Jana Zamoyskiego z panną d'Arquien. Wszystkie te uczty, przepychy, wiwaty, drogie kamienie, sobole, mowy weselne, to była poezja życia szlacheckiego, poezja trochę gruba co prawda; jakoż, nazajutrz po ślubie proza odzyskuje swoje prawa. Młoda pani udaje się z mężem do Zamościa; w parę zaś miesięcy później pisze (po polsku, okropną pisownią) do swego podstarościego te słowa: „Panie Wacławowicz. Czyli ja nie pani?... Co wskażę, to na wspak czynią. Czemu tak nie czynią jak przy Jegomości? A to jak rozkazałam baryłę wina posłać, a oni garncami posyłają, a ja się będę musiała wstydzić, kiedy kto przyjedzie. Owsa kazałam kilkadziesiąt korcy, a oni dwa posłali. Jakom żywa, takich rządów nie widziałam jako to są. Niech się już odmienia, dla Boga!”...

Czyżby wspaniały Zamoyski miał się okazać sknerą? Bynajmniej; ale gospodarka jego dworu zawsze będzie łączyła przepych z niechlujstwem, drobne braki z szaloną rozrzutnością. I wciąż będzie trwała cicha walka domowników, totumfackich, przyjaciół, pieczeniarzy, wieszających się przy Zamoyskim i korzystających z niego, przeciw pani domu, która chciałaby rząd domu ująć w swe ręce. Co więcej, sam pan, zamiast wesprzeć powagą swoją pretensje żony, częściej będzie cichym popiecznikiem opozycji.

Nie było jeszcze w Polsce znane pojęcie „kobiety niezrozumianej”; ale to pewna, że jeżeli kto mógłby sobie rościć prawa do tego tytułu, to pani wojewodzina. Oblubieniec sprawił zawód i jej, i jej protektorce. Dzielny żołnierz, ale bez większych talentów, jako głowa był raczej zerem. Wesoły kompan, hojny, rozrzutny nawet, niedbały, kochający się w grubym zbytku, popularny, ordynarny, klnący rubaszenie, pijak, podagryk – niestety i coś więcej – nie był pan Jan Zamoyski miłym towarzyszem dla wykwintnej kobiety. Praktyczną Francuzkę drażniło jego marnotrawstwo; pannie chowanej na dworze przykry był dom pełen pijatyk i hałasu. Dzieci też nie miały jej dać pociechy; niewydarzone, marły w wieku niemowlęcym. Zamość obrzydł jej niebawem; gdy mogła, pomykała do Warszawy, gdzie zawsze była mile widziana na dworze.

Bo nawet gdy nie dokuczają drobne kłopoty gospodarskie, w Zamościu jest dość nudno. Grywa się w karty, w ciuciubabkę i w inne zabawy, podczas gdy pan domu zabawia się w swojej kompanii dzbanem; od biedy urządza się szarady i maskarady. Niebawem nastęrcza się pani Zamoyskiej w tych wiejskich nudach rozrywka, która z czasem staje się czymś więcej niż rozrywką.

Wspomnieliśmy już, że nie dalek niż o kilka mil od Zamościa znajdował się jeden z majątków młodego chorążego koronnego, Jana Sobieskiego: Pielaszkowice albo Pieleskowice. Sobieski, którego z Zamoyskim, zaledwie o parę lat starszym od niego, łączyła dawna zażyłość, zaglądał tam coraz chętniej; stąd oczywiście sąsiedzkie stosunki, drobne przysługi, z tych znowuż – korespondencja. Sobieski pisał po polsku, z lekka makaronizując francuszczyznę, pani Zamoyska pisała po francusku, dość często mieszając słowa polskie i zwroty. Ale z tej pierwszej fazy korespondencji zachowały się jedynie listy Marysieńki.

Pierwszy list, jaki znamy (przypuszczalnie z r. 1659), daje ton ówczesnego stosunku dwojga młodych. Nie, to nie jest ton dramatu miłosnego; nie dźwięczą tu żadne echa jakiegóż przeszłości; to raczej na wpół przyjacielski i wesoły flirt, coraz bardziej nabrzmiewający przyszłymi możliwościami. Sam rozmiar tego listu – kilkanaście ćwiartek pisma, a jeszcze brakuje końca – świadczy, jak skuteczną ta korespondencja jest ucieczką od wiejskich nudów. Jest tam o wszystkim po trochu: o tym że Moskale zapuszczają się często niemal pod Lublin; że mieszkańcy Lublina chronią się do Zamościa; i wpół ironiczna kondolencja z powodu tego, że Jaworów – jedna z rezydencji Sobieskiego – spłonął, a w nim jakoby łaźnia wraz z Czerkieskami (*votre*⁶² lasznia *avec plusieurs*⁶³ Czerkieski),

⁶² *votre* (fr.) – wasza, pańska. [przypis edytorski]

⁶³ *avec plusieurs* (fr.) – z kilkoma. [przypis edytorski]

które się tam schroniły z Ukrainy wiedząc, że Sobieski lubi być protektorem płci słabej, „a to nie byle co, taka reputacja”! Te przyjacielskie sekatury⁶⁴ kończą się ruskim cytatem: „Niech pan uważa, żeby panu nie śpiewano jeszcze raz: *Czy ja toby nie mówiła, ne bery Wołoszki...* (Wołoszki czy Czerkieski miały reputację osób ładnych, ale niespokojnych, burzliwych, a także niebezpiecznych dla zdrowia: aluzja byłaby w ustach młodej mężatki dość śmiała!) Potem, wciąż w lekkim tonie, zagaduje pani Zamoyska Sobieskiego o panią podkanclerzynę (Leszczyńską) i dopytuje się go, czy się żeni i kiedy. Rada by, aby się ożenił prędko; to będzie miło mieć tak ładną sąsiadkę! Żałuje, że nie mogłaby być na ślubie, ale za to sama się zaprasza na „przenoszyny”. Mimochodem dość żywa wymówka; gdzie on miał głowę, aby sprzedawać posiadłość, jaką miał tuż koło Zamościa; „to była zawsze siedziba pańskiego ojca” – dodaje Marysieńka, nagle patriarchalna. Niech się koniecznie stara, aby to jakoś odrobić! Potem następuje zawiła historia pieska, którego chciano otruć na złość jej i to jakoby z poduszczenia jej męża; ot, małe niedole pożycia małżeńskiego... „Piszę panu o tych drobiazgach, bo pan sobie tego życzy” – dodaje Marysieńka. Potem prośba o poszukanie obrusów holenderskich i koronek i zlecenie, aby doręczył królowej garnitur szmaragdów, przeznaczony dla jubilera; ale niech dobrze uważa na liczbę kamieni, bo panny dworskie lubią zwędzić jakiś kamyczek...

W drugim z kolei liście, jaki znamy, czuć rosnącą konfidencję, już jakby poczucie wspólnoty. „Niech mi pan doniesie co królowa panu pisze, a ja panu napiszę to co mnie pisze; ale przypuszczam, że to samo: o cesarzu, o elektorze, o carze Moskwy”. Dołącza pani Zamoyska nowiny paryskie i francuskie gazety.

W inny list (1660) miesza się trochę rycerskiej kokieterii: siodło jest niezłe, młoda pani jeździ co dzień konno i strzela czy też fechtuje się: chciałaby znaleźć takiego, co by jej stanął w pojedynku!

Tuż potem wymowniejszy szczegół: giermek Sobieskiego przywiózł dla niego dość duży pakiet; nie zastawszy swego pana (zapewne w Warszawie), oddał pakiet pani Zamoyskiej, z czego jest bardzo rada: listy spaliła. Dowodzi to niewątpliwie daleko już posuniętej zażyłości. Dalej łaje pani Zamoyska Sobieskiego za jakieś zaniedbanie; ale nie rości sobie – pisze – więcej praw do jego względów niż wszelka inna spośród dam, dla których znany jest z uprzejmości...

Ten ciągły system drażnienia, przypiekania, charakterystyczny jest dla Marysieńki i będzie doprowadzał Sobieskiego do rozpaczki jeszcze w czasie wyprawy wiedeńskiej. Ale skutkuje zawsze.

Zresztą trzeba zaznaczyć, że ponawiane aluzje do małżeńskich planów Sobieskiego nie były całkiem bezpodstawne. Była na horyzoncie i owa pani podkanclerzyna Leszczyńska, Radziwiłłówna z domu, młoda i piękna wdowa; były i inne kombinacje. Pod koniec r. 1660 Caillet, przybyły do Warszawy jako agent Kondeusza, donosi swemu panu:

Królowa powiedziała mi, że pan Sobieski, wielki chorąży koronny, młody, bogaty i z wielkiego domu, bardzo by pragnął zaślubić jakąś Francuzkę, krewną Waszej Wysokości. Królowa pytała się mnie, czy nie znam takiej, i dodała, że nie chodzi o to czy ma majątek i czy jest ładna...

Trochę styl drobnych ogłoszeń: „wiek i uroda obojętne”.

Znaleziono w klasztorze we Francji taką ubogą kuzynkę księżęcą i na gwałt kazano malować jej portret, aby go przesłać do Warszawy. Ale niebawem Caillet doniósł, że rzecz jest nieaktualna, bo pan Sobieski kocha się jakoby w podkanclerzynie Leszczyńskiej. Marysieńka dobrze zwietrzyła rywalkę: ujrzymy niebawem, do jakich heroicznych ucieknie się środków, aby się zabezpieczyć przed tego rodzaju możliwościami. Nie wie jeszcze, co z tym swoim kawalerem robi, ale to wie, że jest jej, prawem zdobyczy, i że nie ma go ochoty nikomu odstąpić.

Czas jest wciąż wojenny. Kamieniec, Zamość spustoszone. Sobieski przeważnie jest w polu. W marcu 1660 r. dostał regiment piechoty cudzoziemskiego zaciągu; pisze się pułkownikiem Króla Imci. Potem, z hetmanami Potockim i Lubomirskim, ciągnie na Ukrainę i walczy skutecznie pod

⁶⁴ sekatura – dokuczanie, łajanie. [przypis edytorski]

Cudnowem (7 październik 1660). Na tę wyprawę, sądząc z dat listów, posyła mu pani Zamoyska szkaplerz i złoty krzyżyk „z piękną relikwią, aby, w razie gdyby go zabito, znaleziono przy nim znak chrześcijanina”. Niechaj ceni ten dar nie dla ofiarodawczyni, ale dla relikwii: wie, że on nie dba o jej łaski, ale też to jest rzecz, którą by zrobiła dla każdego.

Naraz – dość niespodzianie – z innego tonu: ma do niego żal, że w ostatnim liście żądał czegoś, czego ona nie może mu użyczyć bez obrazy i co on sam osądziłby surowo. Błaga go, aby jej nie stawiał takich żądań, których ona nie może wysłuchać, a których przykro jej jest odmówić. Dostyc go traktuje jako swoje dziecko – pisze ta 19-letnia kobieta do 31-letniego mężczyzny – skoro mu daje swój ulubiony szkaplerz. *Adieu, vivons contents dedans la vertu* – żyjmy zadowoleni w cnocie.

Potem znów drobne wiadomości: uzyskała u pana męża pozwolenie, aby nie stroić głowy po francusku w same włosy, ale nosić z polską (może na intencję kontuszowca Sobieskiego?) czepeczek. Marysieńka sarmatyzuje się wyraźnie: kazała sobie też zrobić staniczek „*un peu*⁶⁵ z krymska zapięty na bakier”. Kończy się zaleceniem spalania listu. Istotnie, zaczyna być ciepło.

To znów list melancholijny. Czuje się niedobrze, czeka rozwiązania, ma gorączkę. Wróciły bóle głowy, które ją tak nękały w poprzednich ciążyach. Mąż w obozie, a ona tak zawsze boi się o niego, kiedy go nie ma w domu. Czuje się w otoczeniu nieprzyjaznym, „jak ptak na gałęzi”; wrogowie (pisze), chcieliby ją rozdzielić z mężem, uśmiercić ją, wyrzucić jej dziecko. A przecież wiadomo jest, że ona kocha męża! Tym serdeczniej garnie się do Sobieskiego; czuć, że on się staje owym bliskim człowiekiem, któremu pani Zamoyska ufa, na którym może polegać nawet w poważnych sprawach życiowych. Słowem, mimo że nie są to w ścisłym znaczeniu listy miłosne, są o wiele niebezpieczniejsze; na wszelkie sposoby – może bez jego wiedzy – miłość oplata nierozzerwalnymi więzami młodego rycerza.

Ale kto wie, czy nie najczulsze struny trącała pani Zamoyska w jego sercu, kiedy, wiedzioną instynktem kobiecym, uderzała w ton macierzyński. Jeden z listów rozpoczyna się od nagłówka: *Mon cher enfant*⁶⁶. Po czym następują żarciki niby mateczki wojennej, grające na tym synostwie. Pani Maria boi się, żeby Jej wstydu nie przyniosło wychowanie takiego dziecka jak on. Że jest zanadto rozpustny, że go nie dosyć biła różgą, kiedy był mały. Jeżeli ją kocha, niech myśli o tym, aby dać pociechę jej starości, żeniąc się: ale ona już traci nadzieję; boi się, że on będzie „*toute sa vie un*⁶⁷ nic dobrego”.

Słodkie musiały być te strofowania z ust dziewiętnastoletniej ślicznej mateczki Sobieskiemu, który przez całe życie cierpiał może na niedosyt pieśczości matczynej⁶⁸. Pani Teofila Sobieska była, zdaje się, z owych matek Spartanek, które wciąż mają na ustach owo: „polegnij, synku, polegnij”. Zresztą ta matka dość wcześnie i w dość tajemniczy sposób znika z życia syna. A w tym rycerzu jest, zdaje się, bardzo silna potrzeba pieśczości, czułości. Ujrzymy później, już u hetmana Sobieskiego, wrażliwość niemal histeryczną, kiedy na przykład w obozie podhajeckim na wiadomość o rzekomej chorobie Marysieńki „paraliż mu u lewej ręki mierzynny palec⁶⁹ naruszył”. W innym liście – także już jako hetman – będzie wymawiał Marysieńce, że „kiedy coś narzekał na Dwór i uskarżał się, a Wć. m. s. jeszcze się ze mną sprzeczała, jam dopiero układałszy się, płakał niesłuchanie, pierwszy raz uczynił się mnie żal Wci i poczęłaś mnie Wć obłapiać i wymier'zać z tego, perswadując abym się nie turbował. To kiedybyś Wć m. s. zawsze tak była czyniła, tobym się ja był miał za najszcześliwszego na

⁶⁵ *un peu* (fr.) – trochę. [przypis edytorski]

⁶⁶ *mon cher enfant* (fr.) – moje drogie dziecko. [przypis edytorski]

⁶⁷ *toute sa vie un* (fr.) – całe swoje życie; *un*: fr. rodzajnik męski przed następującym potem rzeczownikiem. [przypis edytorski]

⁶⁸ *cierpiał (...) na niedosyt pieśczości matczynej* – Potwierdzając chłodne stosunki, jakie panowały między Janem Sobieskim a jego matką, prof. Battaglia upomina się o zanotowanie pierwszej miłości Sobieskiego do jakiejś szlachcianki, którą młody Jan koniecznie chciał zaślubić. Matka sprzeciwiła się stanowczo i postarała się, aby ukochaną syna wydano czym prędzej za mąż za kogo innego; stąd żale; [Battaglia, Otto Forst de (1889-1965), pol. historyk i krytyk literacki pochodzenia austriacko-włoskiego; w marcu 1938 r. opublikował w „Przeglądzie Powszechnym” artykuł *Brązowanie Marysieńki*, będący odpowiedzią na publikację biografii żony Sobieskiego autorstwa Boy'a Żeleńskiego; Red. WL.]. [przypis autorski]

⁶⁹ *palec mierzynny* – palec środkowy. [przypis edytorski]

świecie człowieka”. To ciągle domaganie się, zebranie pieśczoły byłoby nieraz u męża, u hetmana, u króla, rażące niemal brakiem godności, gdyby Sobieski nie zachował w nim czegoś dziecinnego, przetrwałego jak gdyby z niezaspokojonych potrzeb wczesnej młodości. I teraz, w twardym życiu obozowym, od tej młodej kobiety dostaje szkaplerzyk, od niej listy macierzyńskie, żartobliwie gderzące, i stopniowo chorąży Sobieski, bez rodziny, bez matki – mimo że żyła jeszcze – w niej, w pani Marysieńce – zanim może jeszcze uświadomił sobie, że ją kocha – znajduje matkę, rodzinę, wszystko. I ona musi to czuć, musi sobie zdawać sprawę, że od dawna w jego sercu zastąpiła matkę, skoro – gdy ta matka z końcem r. 1661 umarła – nie obawia się zrazić Sobieskiego do siebie, kiedy przypominając mu planowaną schadzkę, zaleca bez ogródek, aby się załatwił prędko „z tym pogrzebem” – z pogrzebem matki – tak aby to im nie popsulo okazji widzenia się. Tak może pisać kobieta, która czuje swoją absolutną władzę nad mężczyzną – *la Glu*⁷⁰.

Marysieńka niewyczerpana jest zresztą w chwytach zalotności. Ledwo upomniała Sobieskiego, aby zgotował pociechę jej starości żeniąc się, kiedy dodaje: „a teraz mówmy poważnie”. Mianowicie Sobieski napisał komuś w liście, że jest „melancholiczny dla jakiejś przyczyny”. Jeżeli to ta przyczyna, którą ona przypuszcza, niech nie rozpacza, wszystko będzie dobrze, byleby przyrzekł, że będzie kochał tę osobę czystą, niewinną miłością... Po czym Marysieńka natrąca o wzajemnym zwrocie upominków – czyżby zerwanie! – ale tuż potem dodaje, że „konfitury są teraz całą moją rozrywką”. Konfitury znaczą listy: bo już wkrada się w ich korespondencję umowny szyfr, który będzie coraz bogatszy i coraz bardziej urozmaicony, w miarę jak stosunek ich będzie poufniejszy, a sprawy poruszane w listach sekretniejsze i drażliwsze.

Kończąc te swoje „konfitury”, prosi pani Zamoyska o zwrot zeszytu z piosenkami i przesyła pierwszą część *Cyrusa*; kiedy przeczyta, niech przyśle po następne części. Sama zaczyna czytać *Kleopatę*, którą Sobieski tak jej zachwalił. Poleca się jego synowskiemu przywiązaniu i upewnia, że jest mu – bardzo oddaną matką.

W tym liście spotykamy po raz pierwszy wzmianki o lekturze, które nas mogą szczególnie interesować, ponieważ wiążą się z ogólnym zagadnieniem kultury umysłowej Sobieskiego. Na ten temat, jak na temat jego paryskiego pobytu, pokutuje wiele fantazji, a co najmniej nie dość rozróżnia się rozmaite epoki jego życia. Zaznaczyłem już, iż nie sędzę, aby ów niecały rok, spędzony przez siedemnastoletniego, nie dość przygotowanego chłopca w Paryżu, miał w tym względzie młodemu Sobieskiemu dać zbyt dużo; potem zaś kończy się wszelka mniej lub więcej systematyczna nauka, a zaczyna się życie czynne: obóz, koń, szabla, a w pauzach kielich i spódniczka. Głębszej kultury umysłowej – jak i charakteru – miał się Sobieski dopracować aż z czasem. Na razie – jak świadczą wzmianki w jego listach – jest on przede wszystkim namiętym pozeraczem romansów, które czarowały współczesnych a które klimatem swoim tak bardzo musiały odpowiadać jego warunkom życia i jego rosnącej miłości do pięknej wojewodziny. Można powiedzieć, że te powieści nadały styl uczuciu pana Jana; że dokonały jego edukacji miłosnej, a może nie tylko miłosnej. Ten ideał „miłości doskonałej”, stworzony przez starego pedanta d'Urfé, a udoskonalony przez starą pannę de Scudéry, on wziął dosłownie, urobił się na jego podobieństwo. Z dawnego szlacheckiego dziwkarza, trzymającego sobie harem z Czerkieskami, stanie się Artamenem czy Celadonem; z wiernej i jedynej miłości zrobi sobie religię. Wbrew temperamentowi, wbrew okolicznościom, uczyni sobie chlubę ze swej wyłączności. I ten styl zostanie mu nawet wówczas, gdy namiętność zwietrzeje po trosze; po dwudziestu kilku latach, listy Sobieskiego ostygną, ale zawsze zostanie w nich ta sama nomenklatura, te same zaklęcia i zwroty, zawsze powrócą w nich, bodaj od czasu do czasu – Astrea i Celadon.

Dlatego godzi się może powiedzieć kilka słów o owych powieściach, które pan chorąży Sobieski pochłaniał tak chciwie i które sobie pożyczali wzajemnie z panią wojewodzina sandomierską. *Kleopatra*, to była oczywiście powieść La Calprenede'a (nie, jak objaśniał Korzon, tragedia Benserade'a pod tym tytułem), wydana w r. 1648 w dwudziestu trzech tomach! Że Sobieski tak

⁷⁰ *la glu* (fr.) – lep. [przypis edytorski]

lubił *Kleopatrze*, to ma swoją wymowę – mimo że nie mógł znać jeszcze aforyzmu Pascala o dziejach świata i nosie Kleopatry, aforyzmu tak aktualnego w historii jego panowania. *Wielki Cyrus czyli Artamenes* (1650), to była wielotomowa również powieść panny de Scudéry. Powieść ta miała dwie fizjonomie, obie dla współczesnych a wtajemniczonych zarówno powabne; jedna, to sam romans, niby to starożytny i wschodni; druga, to jego klucz, wedle którego można było rozpoznać najwybitniejsze współczesne osoby francuskiego dworu i wytwornego Paryża. Cyrus, czy Artamenes, to był Wielki Kandeusz; pod innymi postaciami kryły się portrety wszystkich głośnych dam i panów, zwłaszcza z *Hôtel Rambouillet*, siedziby „wykwintniś”, do których liczyła się za swoich paryskich czasów i królowa Maria Ludwika. Siebie odmalowała skromnie panna de Scudéry pod postacią Safony. *Cyrus* ożywił dla Sobieskiego i napełniał dłoń treścią ów Paryż, który oglądał przed laty niedojrzałymi oczami młodzieńca. Nie waham się twierdzić, że te romanse, to był prawdziwy uniwersytet Sobieskiego.

Dodajmy zarazem, że cała orientalna i rycerska strona tych romansów, która dla Paryża była tylko miłą fantazją, dla Sobieskiego, harującego z Tatarami, toczącego boje z półksiężycem, była najżywszą aktualnością. Byłoby może niedopuszczalnym paradoksem spytać się, czy nie więcej od rodzinnych tradycji „mścicielstwa”, owe romanse orientowały wyobraźnię Sobieskiego ku Wschodowi? Odgadła to jak gdyby pani de Sévigné, zawsze z sympatią śledząca jego zwycięstwa, kiedy po Żórawnie – jeżeli się nie mylę – pisze z entuzjazmem w jednym ze swoich listów: „Nie było nic równie wspaniałego od czasu Calprenede'a”. Pani de Sévigné nie mogła wiedzieć, że właśnie romans Calprenede'a o Kleopatrze był ulubioną lekturą Sobieskiego, towarzyszącą mu w namiotach. Ani o tym, że – jak już cytowałem – po Podhajcach pisał: „Ma za co Rzeczpospolita być obligowana Sylwandrowi”...

Bo, jeżeli sądzić o tym z jego listów, największe wrażenie musiała na Sobieskim zrobić przedawniona już wówczas, ale wciąż najślawniejsza, wciąż bardzo czytana – w Europie więcej może niż we Francji – *Astrea*, olbrzymi romans Honoré d'Urfé, w pięciu częściach, z których pierwsza ukazała się w r. 1610, druga w r. 1620, ostatnią zaś wydano z papierów autora; – umarł, nie ujrawszy końca swego dzieła. Jest to sielanka pasterska, z akcją pomieszczoną w w. VII, ale podobno też z utajonym kluczem do epoki Henryka IV i intryg miłosnych jego dworu. Pasterz Celadon kocha pasterkę Astreę. Aby zapewnić tajemnicę swemu szczęściu, umawiają się, że on będzie udawał iż kocha inną pasterkę. Podstęp ten staje się źródłem ich nieszczęścia. Ktoś rzuca podejrzenie na wierność Celadona, Astrea odtrąca go, Celadon idzie rzucić się w rzekę. Astrea, poznawszy swój błąd, rzuca się również w rzekę, ale ją wyratowano. Z Celadona został tylko kapelusznik na brzegu oraz list świadczący o jego śmierci. Tymczasem Celadona ratuje nimfa Galatea, która się zakochuje w pięknym pasterzu; szczęściem, Celadon uwalnia się od niej, ale nie śmie się zbliżyć do Astrei, która zabroniła mu zjawić się niewzywaniem przed jej obliczem. Celadon zapoznaje się z Sylwandrem, kochankiem Diany, przyjaciółki Astrei; za jego pośrednictwem przesyła ukochanej list, z którego ta poznaje jego niewinność. Szuka go tedy, odnajduje pod przybranym nazwiskiem, i po nieskończonej zawikłanych przygodach, kochankowie łączą się wreszcie.

Gdyby ktoś wątpił, czy w tym temacie znajdzie się treści na pięć tomów, po tysiąc kilkaset stron każdy, zaświadczy o tym kilka pokoleń, które się karmiły tą powieścią. Wrażenie, jakie zrobiła na Sobieskim, musiało być głębokie, skoro przez kilkadziesiąt lat szpikuje swoje listy zaczerpniętymi z niej aluzjami, czyniąc się to Celadonem, to – rzadziej – Sylwandrem. I tak samo jak tryumfem *Pawła i Wirginii* jest to że Napoleon miał tę książkę pod poduszką w czasie kampanii włoskiej i czytając ją płakał, tak samo prawdziwą nieśmiertelność powinny by dać powieści d'Urfégo owe urocze listy kreślone do żony z obozu w Kamieńcu, gdzie nasz bohater pisze o sobie że „Celadon rad by się przemienił w pleszkę (pchełkę), nie żeby inkomodował⁷¹ tak jak ona Dobrodziejkę swoją, ale żeby się przynajmniej tykał tak ślicznego i delikatnego jej ciało”, albo gdy z obozu w Podhajcach – w wilię bohaterskiego czynu – skarży się, pisząc do bawiącej w Paryżu Marysieńki,

⁷¹ inkomodować – niepokoić, denerwować. [przypis edytorski]

że „jedno to tylko miejsce *du palais enchanté* (dwór francuski) tak szczęśliwe, do którego z tak wielką spiesznością Wc m. s. passyą; i wiem, że gdyby na jedną położono go szalę z miłością przeciw Celadonowi, wiem żeby nieboraka Celadona tysiącem i drugim przeważała funtów”. Młdy styl romansu Urfégo, przefiltrowany przez naiwną a męską duszę bohatera, zrodził w Sobieskim jako amancie ową nieporównaną cierpliwość, rezygnację, wyrozumiałość, wielkoduszność, która nieraz czyni listy Sobieskiego czymś doprawdy bardzo wzruszającym.

Dla oceny stosunków pana chorążego z panią wojewodzina nie od rzeczy będzie może zaznaczyć, że imię Astrei przeszło do terminologii miłosnej dla oznaczenia kobiety uroczej i tkliwie kochanej, ale zarazem nieubłaganej surowej, „bardziej z zalotności niż z prawdziwej cnoty”. A Celadon służy na określenie potulnego kochanka, platonicznego wdychacza. Taki też charakter ma i ten stosunek. Jak długo, zobaczymy.

Na razie korespondencja urywa się na jakiś czas, a przynajmniej nie mamy jej śladów. Czyżby zerwanie? Wprost przeciwnie, raczej zbliżenie. Po prostu listy są niepotrzebne, bo Sobieski, a zapewne i Marysieńka, są na dłuższy czas w Warszawie. Sobieski – jako poseł. Bo popularność jego rosła tymczasem; już w r. 1659, w przerwach między wojowaniem, posłował na sejm; kiedy zaś na wiosnę w r. 1661 niepłatone (jak zawsze) wojsko zawiązało konfederację, Sobieski jest jednym z dwunastu posłów, którzy mieli zanieść sejmowi zażalenie armii.

Otóż w dzień św. Jana r. 1661, w kościele oo. Karmelitów w Warszawie, zjawili się przed ołtarzem mężczyzna w sile wieku, wspaniałej postaci, oraz niezwykle piękna młoda kobieta. Zbliżyli się do ołtarza, zaprzysięgli sobie – czy też tylko on zaprzysięgł? – dozgonną wiarę i miłość, i na pamiątkę ślubowania zamienili pierścionki. Mężczyzną był Sobieski – był to właśnie dzień jego patrona – kobietą wojewodzina Zamoyska. Te „karmelitańskie śluby”, to nie plotka; to uroczysty fakt, na który nieraz Sobieski powoła się w swoich listach – w swoich „konfiturach”.

Bo znów trzeba będzie wrócić do konfitur. Na przekór ślubom, pan Zamoyski żył i jeszcze nie tak prędko miał rozstać się z tym światem.

Zatem banalne „ich troje”? Nie; raczej „ich czworo”. Bo jako czwarta wda się w to – polityka, ucieleśniona w osobie Marii Ludwiki. Nie wiedząc o tym, w kościele Karmelitów Sobieski zaprzysięgł wierność nie tylko Marysieńce, ale także królowej i jej planom.

VI. *Vivente rege*

W jednym z listów – jeszcze w r. 1660 – zapowiada pani Zamoyska Sobieskiemu jakieś szczególne historie. „Nie tylko szczególne ale i straszliwe” – pisze. – Obiecuje opowiedzieć mu je ustnie, za najbliższym widzeniem się; nie może tego zrobić listownie, bo „wmieszani są w to wszyscy i król i królowa”. I tak już powiedziała za wiele: niech nikomu ani o tym nie wspomina, ani jej o nic listownie nie pyta; ostrzega go, że otwierają wszystkie listy.

Tajemnica. Ale niemniej tajemniczo – choć bardziej prywatnie – brzmi nam list o miesiąc późniejszy, w którym pani Zamoyska prosi Sobieskiego, aby wraz z pisarzem koronnym, panem Sapiehą, użył jej pomocy w delikatnej sprawie: chodzi o skłonienie jej męża, Zamoyskiego, aby wypędził osoby, które ją obraziły. Zarazem chodzi o wstawiennictwo Sobieskiego i Sapiehy do hetmanów, aby starostwo darowane przez męża pani Zamoyskiej było zwolnione od świadczeń kwaterunkowych. I tu następują słowa: „Królowa powiada, że trzeba, aby pan pokazał w tej sprawie, czy pan jest moim przyjacielem”...

Jakoż królowa coraz częściej pojawia się w listach pani Zamoyskiej. W kwietniu r. 1661, dając się o coś na swojego Celadona, Marysieńka donosi, że nie pisała do niego, gdyby królowa tego nie zażądała. Jest to moment bardzo niewygodnej, nawet groźnej dla dworu konfederacji wojskowej: królowa chciała sparaliżować konfederację, podsuwając jej za marszałka swojego człowieka; teraz powiada przez usta Marysieńki, że „gdyby niemożliwe było zapobiec tej konfederacji, będącej nieszczęściem dla Polski, trzeba – w razie gdyby Sobieski (lub Sapieha) nie chciał być marszałkiem – niech się choć Sobieski postara o to, aby został marszałkiem jakiś przyzwoity człowiek” (co znaczy: stronnik dworu). Marysieńka zaleca Sobieskiemu, aby spalił list.

Widzimy więc, w epoce bezpośrednio poprzedzającej owe sentymentalne „karmelitańskie śluby” coraz więcej elementów innej natury, wciskających się w ten romans. Widać, że Sobieski brnie: że go gdzieś na jedwabnej nitce prowadzą i że, nim się opatrzy, zajdzie dalej niż zamierzał i niekoniecznie tam gdzie by chciał. Z jednej strony narzucono mu dwuznaczną rolę jakby urzędowego protektora pani Zamoyskiej, na razie mającego pośredniczyć między nią a mężem, ale niebawem mającego bronić jej interesów przeciw mężowi; z drugiej – coraz bardziej spoza miłości wysuwa łapę intryga polityczna, mająca uczynić tego popularnego już wśród szlachty tęgiego żołnierza powolnym choć mało entuzjastycznym poplecznikiem polityki dworu. Skutek będzie ten, że popularność Sobieskiego aż nazbyt rychło pryśnie, a on sam stanie się na przeciąg kilku lat nie tylko człowiekiem najbardziej zdyskredytowanym politycznie, ale co więcej, przedmiotem powszechnego zgorszenia i skandalu. Uwodziciel cudzych żon, rozpustny „Kaligula” – referuję tu opinię braci szlachty – stanie się w dodatku dwuznacznym dygnitarzem, karierowiczem, fartuszkowym hetmanem, bohaterem wojny domowej, w dodatku szkaradnie w tej wojnie przetrzepanym, winnym rozlewu krwi bratniej... Szczyściem, wszystko to minie; nadejdą dni tryumfu, powrócą dni chwały i cnoty. I jeszcze parę razy koło fortuny się obróci... Bo te periodyczne przypyły i odpływy popularności, sławy, szczęścia są dla losów Sobieskiego dość znamienne.

Czy owa historia „nie tylko szczególna, ale straszliwa”, o której pisze – a raczej nie pisze – pani Zamoyska, była tą wielką sprawą, którą ważyła w duchu od dłuższego czasu Maria Ludwika? W każdym razie, dla zrozumienia sytuacji Sobieskiego i Marysieńki w ciągu tych przełomowych lat ich życia, konieczne jest w krótkości bodaj przedstawienie tej sprawy.

Było nią, ni mniej ni więcej, tylko przeprowadzenie za życia króla – *vivente rege*, formuła, która miała Polskę rozpalić namiętnościami i rozedrzeć ją wojną domową – elekcji jego następcy i osadzenie go – w razie domniemanej abdykacji Jana Kazimierza – na dziedzicznym tronie polskim. Był to zamach na jedno z najbardziej zasadniczych praw ustroju, na elekcyjność tronu; przy czym osoba pierwszego dynasty miała być raczej narzucona niż wybrana. Trzeba więc w kilku słowach

objaśnić, jak urodziła się ta zuchwała myśl – i to w głowie kobiety. Bo autorką planu i jego namiętną bojowniczką była Maria Ludwika.

Widzieliśmy w pierwszych latach królowania Marię Ludwikę zatroskaną o swoją przyszłość w razie śmierci schorowanego króla Władysława. Ustaliło jej sytuację drugie małżeństwo, z Janem Kazimierzem, ale zarówno córka, urodzona z tego związku w r. 1650, jak syn, urodzony w r. 1652, pomarli w niemowlęctwie. Znów w razie śmierci króla lub jego abdykacji, małżonka jego zapadała się w nicość, co nie odpowiadało czynnej i ambitnej naturze Marii Ludwiki. Niebawem przyszedł chwile ciężkiej próby: najazd szwedzki. W momencie tym Maria Ludwika jeżeli nie stała się Polką, w każdym razie stała się w całej pełni królową polską, myśląc kategoriami historii i państwa. A zarazem bierze rzecz po trosze sportowo: z całą pasją wygrania tej partii. Czuć to w owych tak sympatycznych jej listach do przyjaciółki, pani de Choisy, pisanych z wygnania w Głogowie, gdy obudzony kraj, w znacznej części za sprawą królowej, coraz energiczniej zaczyna wypierać Szwedów:

Otrzymałam twój list z 12 maja (1656), pełen radości z powodu dobrych wiadomości tutejszych. Przyznasz teraz, że gdym wyliczała siły tego królestwa, nie byłam zanadto chełpliwa! Może prędzej uwierzysz mi teraz, gdy ci powtórzę, że Polska jest niezrównanym królestwem, którego sami krajowcy nie doceniają, a które niweczy wolność ich, nie okiełzana porządkiem. Lecz jeśli kiedykolwiek do rządu samowładnego dojdzie, świat cały podbije.

Po czym królowa – z kobiecą już przesadą – dodaje: „a jeśliby je król szwedzki posiadał, za dziesięć lat nie byłoby ani jednego katolika w Europie”.

„Wolność nieokiełzana porządkiem”. Tę wolność okiełzać, wydobyć z Polski utajone w niej siły, stało się wielką myślą Marii Ludwiki. Bo niesprawiedliwością byłoby widzieć w jej grze jedynie egoistyczne rachuby. Za jedną z głównych przyczyn słabości Polski uważała królowa brak ciągłości dynastycznej, brak silnej władzy, absurd elekcji *viritim* i demagogii szlacheckiej. Póki starczyło Wazów – tego surogatu Jagiellonów – wolność elekcji była ograniczona obyczajem następstwa; obecnie – jak się to niebawem okazało po abdykacji Jana Kazimierza – miała iść na kaprys zupełnego hazardu.

Myśl kreowania przyszłego króla Polski zrodziła się w czasie potopu szwedzkiego, kiedy w zamian za pomoc przeciw najeźdźcy daremnie częstowano wszystkich dokoła widokami polskiej korony. Później, spokojniejszym czasem, wzrok Marii Ludwiki obrócił się – co było u niej najnaturalniejsze – w stronę Francji. Okoliczności chciały, że myśl królowej polskiej zesłała się z najistotniejszymi interesami polityki francuskiej. Osią sytuacji europejskiej przez cały w. XVII jest rywalizacja między Francją a Austrią. Osadzić francuskiego księcia na tronie polskim, związać Polskę trwałym węzłem z Francją, wziąć – wedle wyrażenia Mazarina – „cesarstwo w kleszcze między Francję a Polskę”, oto plan wychodzący naprzeciw projektów królowej i czyniący na jakiś czas kwestię polską ośrodkiem polityki europejskiej. Na ten cel płynęło przez szereg lat złoto z Francji do Polski, a wielki minister finansów Colbert mawiał do swego pana: „Wścieka mnie tysiąc funtów wydanych na ucztę, ale kiedy chodzi o miliony dla Polski, zastawiłbym w potrzebie mienie żony i dzieci, chodziłbym całe życie pieszo, aby na to znaleźć!” Przy pomocy tego złota tworzyła Maria Ludwika partię francuską w Polsce: za wiele na tym złocie budowała – i w rezultacie przegrała partię.

Przyczyną niepowodzenia było może i to, że królowa chciała osiągnąć swój cel zbyt niecierpliwie, zbyt gorączkowo i namiętnie. Związała z tym planem wszystkie swoje pragnienia i nadzieje, postawiła wszystko na tę kartę. Złożyło się na to wiele przyczyn. Politycznie Maria Ludwika czuła się niezawisłą królową Polski i odrzucała wszelki cień wasalstwa wobec Francji. „Nie słyszałam nigdy, aby korona, którą noszę, miała być zależna od jakiegokolwiek innej korony” – ciska dumnie posłowi Francji, w odpowiedzi na niezręcznie przezeń użyty wyraz: „zależność”. Ale niewątpliwie wiązało ją z Francją tysiąc nieuchwytnych nici, wspomnień, związków z kulturą francuską. Stali korespondenci informowali królowę o wszystkim, co się działo w Paryżu i na

dworze; nie upłynął prawie dzień, aby nie miała stamtąd listu, była wtajemniczona we wszystkie zdarzenia, ploteczki nawet. Był to przecie świt tryumfalnej epoki młodego Ludwika XIV, epoki ślącej na całą Europę blaski nowego stylu królewskość; nie dziw, że się w tę stronę obracały oczy królowej. W r. 1920 wydał p. Emile Magne listy Kondeusza i syna jego księcia d'Enghien – owych dwóch niedoszłych królów Polski – do Marii Ludwicy: czuć z tej korespondencji, jak bardzo nasza królowa była myślami we Francji. Nie zapominajmy wreszcie o tkliwych węzłach, jakie miały ją łączyć z bohaterskim Kondeuszem w zaraniu jego młodości. Ożenić syna Kondeuszowego ze swoją zaadoptowaną siostrzenicą (bo taki miał być serwitut polskiej korony), z przybraną córką obojga królestwa, zapewnić obie prawa królowej-matki, czyż to nie znaczyło dla Marii Ludwicy – obok trwałej królewskość – stworzyć sobie prawdziwą rodzinę, przenieść do Polski część Francji, i to jedną z najświetniejszych! Wówczas Jan Kazimierz mógłby sobie abdykować. Trudno o misterniejsze zaszczepienie rodu *Condé* na pniu Wazów, szczepionych znowuż na Jagiellonach.

Nie od razu koncepcja ta skryształizowała się tak wyraźnie. Kondeusz, niedawny buntownik i banita, był w niełasce u Ludwika XIV, który zrazu nie chciał słyszeć o nim ani o jego synu. Zmacano z kolei młodego księcia de Longueville; puszczono w ruch przyszłego św. Wincentego a Paulo, aby panią de Longueville życzliwiej usposobić dla sprawy, wymagającej poważnego finansowego wkładu. W końcu, po wielu skomplikowanych fazach rokowań, Ludwik XIV upoważnia Kondeusza, aby dla swego syna traktował o koronę polską. Kiedy Mazarin umiera w r. 1661, Ludwik ujmuje sprawę w swoje ręce i tym energiczniej popiera tę swoją pierwszą wielką polityczną imprezę, otwierając na ten cel poważne kredyty. Gdyby to nie było tak daleko, myślałby o tym, aby posłać pomoc i w ludziach... Raz się zaangażowawszy, młody Ludwik XIV, stawiający pierwsze kroki w samodzielnej polityce, uważa elekcję polską za kwestię swego honoru. Jakoż we wrześniu r. 1661 staje w Fontainebleau tajny traktat francusko-szwedzki, mający ścisły związek z przygotowywanym w Polsce zamachem stanu. Wojska szwedzkie miały na dany znak wtargnąć do Polski i narzucić siłą Francuza.

To daje miarę, do jakiego stopnia Maria Ludwika brała w rachubę jedynie mechaniczne środki rządu, nie licząc się z uczuciowymi imponderabiliami nie dość przez nią rozumianego kraju. I to zapewne stało się główną przyczyną niepowodzeń.

Mówimy w całej tej sprawie o królowej, ponieważ ona była jej sprężyną. Król zostawił jej w tym wolną rękę. „Królowa prowadzi króla jak mały Etiopczyk słonia” – pisał współczesny dziejopis Rudawski; „jak niedźwiedzia na łańcuchu” – mówi pamiętnikarz Jerlicz. I to było wiadome. Ambasadorowie mają rozkaz okazywać szacunek królowi, ale przede wszystkim upewniać się w każdej rzeczy co do zgody królowej. W czasie sejmu, na którym Jan Kazimierz wygłosił swoją pamiętną mowę, Maria Ludwika z umyślnie urządzonej łoży śledziła bieg obrad, magnetyzowała króla swoim wzrokiem.

Kiedy przejrzeć literaturę historyczną, spotyka się najsprzeczniesze sądy o Marii Ludwice. I różni historycy oceniali ją rozmaicie, i różne epoki były na nią mniej albo bardziej łaskawe. Dla jednych jest to wielka głowa i wielki charakter podejmujący trud odrodzenia Polski; wcielenie politycznego rozumu i polskiej racji stanu. Dla drugich była to ambitna kobieta, dążąca niecnymi drogami do samolubnych celów; demoralizatorka, od której zaczyna się w Polsce korupcja i polityczny cynizm. Pomiędzy tymi dwiema skrajnymi opiniami znajdują się sądy wszystkich odcieni.

Ale jak bądź by na to patrzeć, zdaje się, że najślabszą stroną zamiarów Marii Ludwicy było to, że były one – bodajże niewykonalne. Aby ukrócić przywileje magnatów i szlachty, nie miała królowa innej siły niż tę właśnie szlachtę i tych magnatów. Urzędy koronne były dożywotnie, od tronu niezawisłe, a posiadacze ich mieli wszelkie powody lękać się widma *absolutum dominium*, które wiązano z elekcją Francuza; wolności szlacheckie były dla szlachty czymś w rodzaju religii, której tknąć nie pozwalała nawet myślą. Na stworzenie siły wojskowej, zależnej wyłącznie od króla, trzeba by pozwolenia tejże szlachty. Aby ten stan rzeczy zreformować, aby ukrócić wybujałe wolności, trzeba by siły moralnej zdolnej do przeobrażenia pojęć, albo też siły faktycznej. Na to wszystko Maria Ludwika miała tylko jeden sposób: kupować ludzi, sypać pensje francuskie. Kto nie był na

tej pensji! nawet surowy Czarniecki figuruje na liście z sumą 12 000 funtów rocznie. Ale trudno było kupić cały kraj; opłacano więc najwplywowszych, co znów budziło głęboką niechęć szaraków, niechęć spotęgowaną obcością francuskiego obyczaju. A znowuż magnaci byli za bogaci, za potężni, aby ich można było wprost kupić; brać, brali; ale od brania do dotrzymania było daleko. Przeciwna strona dawała także, czasem dawała więcej. Było sporo takich, co brali z dwóch stron: tak np. późniejszy hetman Jabłonowski – jedna z najdostojniejszych osobistości epoki – będąc na stałej pensji francuskiej, brał najspokojniej przez całe lata pensję austriacką. Ale to się wydało dopiero po dwustu latach. Naprawdę więc Maria Ludwika mogła liczyć tylko na kilku ożenionych z Francuzkami „zięciów dworu” i, z tych samych przyczyn, na – Sobieskiego. Przywieziony z Francji korpus damskich janczarów spełnił swoje.

Ale to nie mogło wystarczyć. Nie miał dwór polski miecza, aby karać jak Richelieu. Nie miał tych stopniowań łaski i niełaski, jakie umiał stworzyć Ludwik XIV, który potrafił samą obecność na dworze uczynić szczęściem, a oddalenie najcięższą karą. O dwór króla polskiego magnat nie dbał; sam był królikiem na swoim zamku. Był większym panem, bo żaden poseł na żadnym sejmie nie mógł mu rzucać w oczy zniewag tak jak mógł je rzucać królowi. Za przykład nieuchwytności pana polskiego może służyć w tej sprawie Jerzy Lubomirski. Cała rzecz w ciągu kilku lat kręci się koło zgody lub niezgody, humoru lub niehumoru marszałka koronnego i hetmana polnego, najpopularniejszego podówczas w Polsce człowieka.

Wchodziły tu może w grę i pewne subtelności. Królowa nie miała dość zręczności czy dość taktu, aby się schować za króla. Występowała zbyt osobiście. Otóż Polacy nie byli nawykli do kobiecych rządów i bardzo ich nie lubili. Kiedy związek, mający na celu elekcję księcia d'Enghien, ogłoszono oficjalnie jako istniejący pod opieką „Jej Królewskiej Mości”, wystarczyło to, aby Lubomirski odmówił podpisania aktu. Nie w smak była ta spódnica, poza którą krył się – tak się obawiano – katowski miecz Richelieugo.

Tak więc, Maria Ludwika okazała się w tym wszystkim i rozumna, i nierozsądna, i wielka kalkulatorka, i nieumiejąca obliczać sił, i zręczna, i niezręczna. Trzeba nam było o niej pomówić, ponieważ z jej szkoły wyjdzie Marysieńka. Ta odziedziczy jakoby wszystkie wady Marii Ludwiki, a żadnej z jej zalet – orzekną najsurowsi sędziowie Marii Kazimiery. A jednak zdaje się, że częściej i skuteczniej osiągała swoje cele Marysieńka.

Kiedy kandydatura francuska stała się oficjalną, stronnicy jej przybrali rodzaj specjalnej barwy: czarne kontusze i zielony żupan przy długich czuprynach: po tym poznawali się „elektorowie kondeuszowscy”. Mieli też specjalne medale jako znak rozpoznawczy. Ale równocześnie gotowała się kontrofensywa. Na wiosnę, jak już wspominaliśmy, nieopłacone wojsko zawiązuje konfederację, tę właśnie, której marszałkiem królowa rada by widzieć Sobieskiego. Marszałkiem został niejaki Świderski, „pijak okrutny” ale „człowiek prosty i szczerzy” – wedle opinii współczesnych. Konfederacja rozszerza się; zamienia się w „świętą sieć”, *nexus sacer*, stając się duszą oporu przeciw planom królowej. Aby tym skuteczniej zaszachować te plany, wysunęli skonfederowani projekty daleko idących reform; zaprzysiężono strzec patriotycznie dawnych wolności, ale zarazem tępić fawory i korupcję, zwalczać kumulację wielkich urzędów, ich dożywotność i niezawisłość od króla. Dwór miał do wyboru, albo oprzeć się na kupionych magnatach, albo na masie szlacheckiej; cóż, kiedy w tej masie pierwszym hasłem było: „Precz z Kondeuszem!”. W zaślepieniu królowa posunęła się do tego, że planowała sprowadzenie Tatarów na skonfederowanych, czemu zapobiegł Jerzy Lubomirski, uważając ten sposób za „nazbyt okrutny”. Bo z Tatarami bywały okresowo wcale czułe stosunki; w czasie najazdu szwedzkiego jedyni prawie Tatarzy wspomagali Polskę, a królowa w listach prywatnych pisała o chanie: „brat mój chan”.

Taka była sytuacja polityczna w dobie „karmelitańskich ślubów” Sobieskiego. Toteż może trzeba w nich widzieć coś więcej niż samo porozumienie dwojga serc. Gdy ze strony Sobieskiego występuje coraz bardziej zagarniająca go namiętność, rola jego partnerki jest bardziej złożona. Jest tu zapewne i szczerą skłonność; ale są i rachuby młodej kobiety, cudzoziemki w obcym kraju,

tracącej oparcie i szukającej innego. Może przeczuwała rychłe wdowieństwo, może – mimo że krok byłby na owe czasy bardzo śmiały – myślała o rozerwaniu niedobranego związku. Ale równocześnie Marysieńka, którą współczesny francuski dyplomata charakteryzuje jako „kobietę przebiegłą, bardzo zręczną i z dzieciństwa zaprawną do intryg”, była tu może i narzędziem wyższych kombinacji. Za dużo już ma interesów królowa do Sobieskiego, a pośredniczką jej jest stale pani Zamoyska. I w położeniu, w którym Maria Ludwika tak bardzo potrzebowała stronników, Sobieski – zwłaszcza po tych ślubach – był bodaj jedynym człowiekiem, którego mogła być naprawdę pewna. Nie dlatego że już w r. 1661 Sobieski figuruje na liście francuskiej z pensją 4800 funtów, która to suma w r. 1662 podniosła się do 8000, a z czasem miała urósć do 20 000 funtów. Nikłe to sumy dla magnata, do którego należał spory szmat Polski; większą też z pewnością rękojmią wiary Sobieskiego była właśnie ona, Marysieńka. Można przyjąć niemal z pewnością, że owe „śluby” nie odbyły się bez wiedzy królowej, może były jej pomysłem? To pewna, że odtąd, aby dobrze rozumieć konflikty sercowe Sobieskiego i Marysieńki, trzeba równocześnie mieć na oku najważniejsze sprawy poruszające Rzeczpospolitą.

Przełom odbija się w korespondencji. Dwa krótkie listy Sobieskiego, które rozpoczynają wydawnictwo Helcla i które Helcel odnosi do r. 1664, raczej – jak to trafnie skorygował Korzon – należałoby przenieść na ów gorączkowy okres sejmu warszawskiego w r. 1661. Inny już ton tych listów. Tempo galopujące, nie ma dawnych peryfraz, nie ma mowy o cnocie. „Królowo serca” – tymi słowami zaczyna się krótki bilecik oznajmiający, że „gdzie mi się tedy obrócić rozkażą, czekam na wyraźne rozkazy Pani i Dobrodz. mojej, której jedyną tylko nad sobą uznawam władzę i uznawać będę – póki jej panowanie trwać będzie” – dodaje z bezwiednym jezuityzmem Sobieski. I drugi liścik jeszcze gorętszy, w którym wymawia Marysieńce że nie odpisuje „kiedy mogę mieć ten honor śliczną W. Pani obaczyć twarz: na czym mi więcej zależy, niżeli na tych wszystkich światowych chimerach, które ja za nic nie mam bez swej ślicznej Jutrzenki i bez jej possessyi. Zmiłujże się tedy moja święta Dobrodz. a oznajmij mi prawdziwe serca swego intencje i gdzie i kiedy mam widzieć śliczności Wci Dobrodz. mojej?”

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.